№ 14. Warszawa, dnia 2 Kwietnia (21 Marca) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

LIST
MARGRABIEGO WIELOPOLSKIEGO.

Redaktor *Moskiewskich Wiedomosti* dawno już nie odebrał od nikogo publicznego *listu*, mimo że do takiej korespondencyi pobudza jednostki i narody z niemniejszą jak dawniej zaciekłością. Ostatnia wreszcie poczta z Petersburga przyniosła mu w kolumnach *Poriadku* list otwarty margrabiego Z. Wielopolskiego. Gdyby syn sławnego męża stanu wystąpił w charakterze zwykłego polskiego obrońcy i ograniczył się jedynie do odparcia oktu oskarżenia prokuratora z Moskwy, sadzającego gwałtem cały nasz naród na ławie podsądnych, wystąpienie jego, po tylu innych, ostrzejszych naganach, nie dałoby nam materyału do szczególnej uwagi. P. margrabia jednak w liście swoim tak mało zajął się przeciwnikiem a tak wiele sprawami ogólniejszej natury, że nad *Listem* jego winniśmy się zastanowić bliżej.

Nie jest on wcale politycznym debiutem szan. autora na scenie naszego życia.

Przed rokiem margr. Wielopolski zabierał kilkakrotnie głos w jednem z pism poznańskich, broniąc lub objaśniając działalność ojca i kreśląc na tychże podstawach oparty program własny. Wówczas to dowiedzieliśmy się po raz pierwszy o jego gotowości przewodniczenia naszemu społeczeństwu z tytułu moralnego dziedzictwa i poprowadzenia go po drodze, niestykającej się wcale z manowcami porozbiorowej tradycyi. Dostateczne niejako usprawiedliwienie swego posłannictwa margr. Wielopolski widział w swym stosunku do ojca.

Naturalnie taka opora politycznej legitymacyi i działalności wydała się wielu przeciwnikom za słabą. Ani godność naczelnika rządu cywilnego — mówiono — nie jest spadkową, ani osobiste, choćby najszczersze uczucia nie mogą być regułami życia całego narodu. Oświadczenia, wyrażone przez margr. Wielopolskiego w prasie poznańskiej, mimo szerszego tonu, nie wznoszą się wcale po nad miarę wylewu subjektywnych pragnień i sympatyj. Ich autor nie dostrzega, że stanowisko, do którego pretenduje, jest elekcyjnem, że dynastya przewodnictwa w narodzie może się rozpoczęła i skończyła na jego ojcu, że w chwili, gdy rozpuszczał swój sztandar, nie dosłużył jeszcze stopnia chorążego. Zapomina nadto, że może jego osobistych długów wdzięczności cały naród nie zechce spłacić i przyjąć jako podstawę swej polityki, że jego uczucia, zasady, przekonania mogą nie wpadać w takt równie słusznych uczuć, zasad i przekonań ogółu. Bezspornie, że margr. Wielopolski jako dziedzic wielce dziś szanowanego imienia, jako przedstawiciel szeroko dziś wyznawanej idei „pojednania," ma bardzo ułatwioną drogę do zajęcia poważnego w społeczeństwie naszem stanowiska; ale i to pewna, że go dotąd nie zajął. Dla ogółu naszego jest on zupełnie nieznanym, tak jak ogół prawdopodobnie dla niego.

Też same uwagi, których słuszności dla względów niżej zaznaczonych rozbierać nie będziemy, wywołał śród nas w pewnych kołach *List do p. Katkowa*. P. Wielopolski — powiadają głosy tych kół — wychował się w sferze arystokratycznej, od narodu zupełnie oderwanej, nigdy się z nim nie stykał, jego skarg i pragnień nie słuchał, wielu jego potrzeb nie zrozumiał, widzi więc tyle tylko, ile mu okna możnowładczego Olimpu z góry widzieć powalają. Aleksander Wielopolski wyszedł z tej samej sfery, ale jako naczelnik kraju miał sposobność zbadania wszystkich jego składników praktycznie. Syn nie ma za sobą tej praktyki, nie licząc uzdolnień, których nie znamy wcale, i dla tego, zamiastześrodkowania w sobie przedmiotowo ujętych dążeń narodu, daje nam próbkę swej na temat polityczny usnutej liryki. „Według margrabiego Wielopolskiego, „stronnictwo rewolucyjne (w r. 1863) nie było *wyłącznie* pochodzenia polskiego." „Weź pan — powiada do Katkowa — śledztwa sądowe toczone w latach 1861—1864, a przekonasz się, że sprawcy ówczesnych zaburzeń nie wszyscy byli polakami, a z polaków bardzo niewielu wyszło ze szkoły emigracyjnej w Cuneo i tym podobnych zakładów, lecz przeciwnie, pobierali przeważnie wykształcenie w zakładach naukowych rosyjskich. Sprawa rewolucyjna w społeczeństwie polskiem nigdyby nie doszła do tak olbrzymich rozmiarów, nigdyby nie wydała wstrętnych objawów, gdyby nie liczyła na podobny ruch rewolucyjny w samej Rosyi. Przypomnij pan sobie szalejące w Rosyi pożary, wzburzenie uczącej się młodzieży, rozstrzelanych w Warszawie rodowitych rosyan. Rewolucyoniści wszędzie są jednakowi: czerwoni polacy trzymali się za ręce z czerwonymi rosyanami, i ci i tamci działali społem. Jestem wrogiem rewolucyi, z którą walczyłem czynnie zawsze i wszędzie. Nabyłem, jak mniemam, prawo do wyrażenia głębokiego, na doświadczeniu opartego przekonania, że obwinianie *samych tylko* polaków za rok 1863 byłoby i niesprawiedliwe, i historycznie błędne. „Jakkolwiek ze względów praktycznych wolelibyśmy może, ażeby tak było; mówiąc jednak o historyi, musimy wyznać, że tak nie było. Nikt nie zaprzeczy, że świadomi kierownicy ostatniej rewolucyi liczyli na sprzymierzony ruch w Rosyi; że w szeregach powstańczych znajdowały się pierwiastki nie-

polskie; owa jednak rachuba była tak dalece słabą sprężyną a ów udział obcy tak drobną domieszką, że bez pogwałcenia prawdy niepodobna im przypisywać ważnego wpływu. Na rozmaite barki składano winę ostatniego porywu: przypisywano go emigracyi, Napoleonowi, ba, nawet poetom romantycznym. Na fakta tego rodzaju składają się niezawodnie różne czynniki; być więc może, iż każdy z tych żywiołów w pewnym stopniu oddziałał. Jeżeli wszakże potrzeba nam koniecznie głównego sprawcy, to była nim ta sama siła, która wywoływała wszystkie ruchy od r. 1793 do 1861, siła wspomnień niepodległości państwowej. Najmniejszy podmuch zewnętrzny rozżarzał tę niezgaszoną iskrę w płomienie, które ogarniały i niszczyły naszą społeczną budowę. W nieuznaniu właśnie tej siły spoczywa główny błąd poglądu krakowskich stańczyków, którzy winę ostatniej partyzantki przypisują jakieś wichrzycielskiej zgrai spiskowców. Żadna taka drużyna nie wywołałaby takiego wstrząśnienia bez owej żywej w całym narodzie tradycyi. Gdybyśmy dla celów użyteczności potrzebowali wykłamać się z czynów przeszłych, zarówno mniemanie margr. Wielopolskiego, który do maszyny powstańczej dostawił obce (rosyjskie) motory, jak i mniemanie stańczyków oddałoby nam w publicystycznych wywodach pewną usługę. Ale my już kłamać nie potrzebujemy: idea zbrojnych powstań w społeczeństwie naszem zamarła, jej wyznawcy i obrońcy albo wyginęli, albo wymarli, albo w ogniu smutnego losu przetopili się i pod jego młotem przekuli się zupełnie; epokę więc, której ostatnim wyrazem był rok 1863, można uważać za odciętą od obecnego życia naszego i włączoną do historyi. W dziejach zaś nie należy szukać win, lecz przyczyn.

Wywód powyższy podalibyśmy bez zastrzeżeń, gdyby list margr. Wielopolskiego był artykułem literackim, kartką z ostatnich naszych dziejów wyciętą. Znaczenie jego wszakże zupełnie inne. Jest on deklaracyą polityczną, praktycznym środkiem do pewnego celu i z tej strony winien być oceniany. W łonie naszego życia zrodziły się pytania, które my dotąd z obawy przed stanowczym krokiem tłumiliśmy i odsuwali bojaźliwie do nieoznaczonej chwili, które jednak coraz bardziej domagają się wyraźnej odpowiedzi. Jednem z takich pytań, może najważniejszem, jest to nigdy jeszcze jasno niepostawione i nierozstrzygnięte: czy tak zwana idea pojednania jest celem naszych pragnień i dążeń, czy też nie? Porzućmy raz obłudę, przestańmy odgadywać z oczu naszych prenumeratorów, co im się lepiej podoba, nie wykręcajmy się półsłówkami i powiedzmy szczerze, jak kto myśli i czuje, czy owa idea jest dla nas sympatyczną, a przynajmniej praktyczną, zbawienną? Jeżeli tak, to zarówno margr. Wielopolski wyda nam się właściwym pośrednikiem, jak jego *List* właściwym krokiem. Bo jeżeli myślimy o pojednaniu, najlepszą dlań formułę w przeszłości stanowi program Aleksandra Wielopolskiego, którego najgorliwszym i najpoważniejszym wyznawcą w tej chwili jest znowu Zygmunt Wielopolski. W *Liście* tego ostatniego są niezawodnie wyrażenia, drażniące nasze uczucia; ale nie łudźmy się, że zawrzemy umowę, nie opłaciwszy jej pewną ofiarą. Nie wiemy, czy Margr. Wielopolski posiada zdolności ojca, ale obecnie posiada najwyższą sumę warunków inicyatora do rozwiązania kwestyi. Położenie nasze nie sprzyjało kształceniu się talentów politycznych, nie widzimy około siebie ludzi, na którychby się zlało powszechne uznanie; ktokolwiek zatem wysunie się naprzód, nie powinniśmy go powstrzymywać za poły. W takiej chwili nie idzie o to, kto robi, ale co robi. My osobiście ani nie tarzamy się z panem Lisickim w prochu przed Aleksandrem Wielopolskim, ani nie nosimy przy boku szabli na usługi p. Zygmunta, a nawet przekonania społeczne i umysłowe stawiają nas na przeciwległym od niego krańcu; a jednakże nie wytoczymy moralnego procesu autorowi *Listu do Katkowa* za jego samozwańcze uchwycenie buławy, jeżeli nią w obecnej wyprawie *szczęśliwie* pohetmani. Ktoś przecie rozplątywać, czy rozcinać ten gordyjski węzeł zacząć musi, a każdemu to czynić wolno, kto tylko przedstawia dostateczną rękojmię dbałości o dobro ogólne. Taką rękojmię margr. Wielopolski składa bardzo wyraźnie w swym *Liście do Katkowa*: „Nie moja rzecz naturalnie rozprawiać, czy w głębi stosunków osnutych na niewolnictwie nie spoczywa złe jednako zabójcze i dla władzy i dla niewolnika; lecz mam powód twierdzić, że gdyby późna potomność zaczęła według pańskiej gazety odtwarzać historyę XIX w., to przyszłaby zapewne do wniosku, że polacy snadź musieli ciężko uciskać rosyan, skoro ci ostatni żywią do nich tyle nienawiści. Wyznaj pan otwarcie: czy wieczny i nieprzejednany rozbrat pomiędzy plemionami słowiańskiemi stanowi ostatnie słowo nauki, wynik historyi, tak jak ją pan pojmujesz? Czy chcesz pan uwiecznić rozdział, który uprząta i toruje drogę wszelkim knowaniom rewolucyjnym zewnątrz i wewnątrz państwa? Czy czekasz pan na nowe powstanie, czy pragniesz nowego rozlewu krwi, czy chcesz nowych konfiskat? Czy żałujesz pan tej cząstki ziemi, cząstki powietrza, która nam została, mimo wszelkich usiłowań osób działających w duchu *Moskiewskich Wiedomosti*? Dokąd pan zmierzasz? dokąd prowadzisz innych? Nie ma polityki gorszej, niż zamykająca rozmyślnie oczy, by nie zobaczyć prawdy. Wiadomo nam bardzo dobrze, którędy idzie nasza droga, a insynuacye pańskie nie sprowadzą nas z tego kierunku. Droga nasza jest prosta: prowadzi ona ku zgodzie na zasadach sprawiedliwości i wzajemności dwóch narodów.“ Margr. Wielopolski o to się stara? O to. Czy mu w imieniu całego społeczeństwa naszego coś robić wolno, zobaczymy i osądzimy wtedy dopiero gdy zrobi. Prawa polityków dowodzą się *a posteriori*.

DZIKI TOMEK.

IV.

Młody obrońca spojrzał na nie i bez wahania przystąpił do samego jądra kwestyi.

Pałka należała do Jędrasa, nie było w tem wątpliwości żadnej, poznali ją wszyscy świadkowie; on sam zaprzeć jej się nie mógł, mówił tylko, że mu się w lesie gdzieś podziała.

Tłomaczenie to przyjęto z naturalnem niedowierzaniem z powodu, że od razu w umyśle obecnych przy odkryciu zbrodni, i tych co prowadzili pierwsze śledztwo, nie pozostała żadna wątpliwość, że Jędras był jej sprawcą. A jednak, gdyby tak było rzeczywiście, czy użyłby morderczego narzędzia, które wszyscy widzieli w jego ręku? Widocznie to, co brano za dowód zbrodni, powinno było przeciwko niej świadczyć.

Każdy obznajmiony z praktyką kryminalną wie dobrze, iż człowiek, spełniający winę, obmyśla z góry sposób jej ukrycia; tutaj przeciwnie, gdyby Jędras był mordercą Arona, to trzebaby przypuścić, iż działał tak, jak gdyby usilnie starał się o to, ażeby sędziowie nie mieli pod tym względem wątpliwości żadnej, iż gromadził umyślnie przeciwko sobie dowody. Naprzód jawnie gościńcem szedł przed wieczorem do lasu, choć łatwo mu było przemknąć się niepostrzeżony, ścieżkami, które znał dobrze, i użyć innej broni, niż ta, którą wszyscy widzieli w jego ręku. Mordercy postępują w ten sposób wówczas tylko, gdy czyn swój stwierdzają wyznaniem. Jędras przeciwnie od pierwszej do ostatniej chwili utrzymywał niezachwianie, że jest niewinny.

To nasuwało na myśl młodemu obrońcy, iż działała tutaj jakaś skryta ręka, i ta umyślnie tak ukartowała rzeczy, ażeby skierować od razu podejrzenia, a tem samem usunąć je od siebie. Tym sposobem i pugilares podrzuconym został, lub też wypadł z bryczki przy jej przetrząsaniu; wszystko to działo się wieczorem, przy świetle stajennej latarki, której blade światło pozwalało zarówno na jedno, jak drugie przypuszczenie.

Aron, jak zwykle arendarz, miał wielu nieprzyjaciół we wsi, niejednemu się narazil, a nawet słyszano parobków, którym kredytować nie chciał, jak wykrzykiwali, że mu się za to odwdzięczą; czyż który z nich nie mógł dokonać zbrodni i rzucić jej pozory na Jędrasa wiedząc, że on we wsi miru nie posiadał. Jędras jednak nigdy nie miał z Aronem zatargu żadnego, a choć był milczący, mrukliwy, chociaż roboty nie lubił, nigdy przecież nikomu nie zrobił krzywdy żadnej.

W miarę jak mówił obrońca, wymowa jego stawała się coraz bardziej płynną, coraz więcej przekonywającą. Dotąd wykładał fakta, teraz zrobił zboczenie w dziedzinę psychologii, dowodził, iż ludzie posiadający jakąbądź odrębność w umyśle czy postępowaniu, są zawsze celem pocisków złośliwych. Ogół potępia, czego nie rozumie, a ze wszystkich właściwości ludzkich samoistność na każdym szczeblu umysłowym jest zawsze najbardziej niezrozumiała. Ot np. ten prosty człowiek, wychowany wśród lasów, tęsknił do nich, odepchnięty przez ludzi pokonał naturę, i musiał miłość tę odpokutować, dla tego, że nie była ona powszednością pomiędzy jemu równemi.

Dowodzenie to było niebezpieczne, obrona mogła zejść na sentymentalne, dawno przeżyte tory, adwokat błędu tego nie popełnił; z wielką wstrzemięźliwością, ale głębokiem przekonaniem, zaznaczył fakt psychologiczny, dobrze znany każdemu obserwatorowi społecznemu, i powrócił znowu na ocalne pole. Dotad obalał mniemane dowody winy Jędrasa, i przyznać to trzeba, zachwiał przekonaniem niektórych,

PETERSBURG I MOSKWA.

O ile Rosyi wolno się nazwać Grecyą, o tyle ma ona swoją Spartę i swoje Ateny — Moskwę i Petersburg. Cała jej historya od Piotra W-go jest walką tych dwu miast, dwu reprezentowanych przez nie pierwiastków albo stopni rozwoju. Tam widzimy kopalne typy, jak gdyby dopiero wyzwolone z pod „mongolskiego jarzma," pierwotną surowość, dzikość, fanatyzm religijny i polityczny, niezrozumienie europejskich form życia i pogardę dla nich; tu znowu świeżo ostęplowane znamieniem wieku postacie, przeniknięte ideami zachodu, ogładę, obojętność religijną i kosmopolityzm polityczny, słowem cywilizacyjny szyk według ostatniej mody. W Moskwie też lęgną się najpotworniejsze teorye wstecznictwa i niwelacyi, w Petersburgu najliberalniejsze porywy postępu i równouprawnienia. W Moskwie wiją swe gniazda katkowicze i składają ofiary panslawistycznemu Molochowi wyznawcy Aksakowa, w Petersburgu wychodzą radykalne *Molwy*, *Strany* i *Otieczestwiennyja Zapiski*. Tam Katkow, tu Szczedryn; tam rzeźnicy rozbijają niewinnych studentów, tu sąd uwalnia Wiarę Zasulicz; tam nawę państwa pchają pod wodę z opuszczonym żaglem, tu ją wprowadzają na najbystrzejszy prąd z rozpiętym; tam „czterdzieści razy czterdzieści" cerkwi, tu tyleż stowarzyszeń i klubów. Dwa tak przeciwne sobie miasta, a raczej takie wrogie żywioły nie mogą żyć w zgodzie, zwłaszcza gdy każdy z nich stara się zyskać dla siebie lub przynajmniej wydrzeć drugiemu urzędowy kredyt. I rzeczywiście zdobywały one kolejno panowanie. W najnowszej historyi Rosyi są (tem mianem ochrzczone) „okresy petersburskie" i „okresy moskiewskie"; pierwszym zawdzięcza ona wszystkie swoje reformy, drugim zwroty reakcyjne. Ile razy w polityce wewnętrznej zwyciężał Petersburg, przysuwał państwo do Europy; gdy tryumfowała Moskwa, odciągała je do Azyi. Dwugłowy orzeł herbu Rosyi jest symbolem tych zapaśniczych miast, odwróconych w przeciwne strony. Naturalnie w chwili zmiany Panującego, śród niezwyczajnych okoliczności, w chwili, gdy jeszcze niewiadomo było, Ateny rosyjskie czy Sparta otrzyma hegemonię, wybuchła między niemi gwałtowniejsza, niż zwykle, walka. Moskwa, przypisując przewadze Petersburga wszystkie nieszczęścia, i zapominając, że Hartman w niej miny podkładał, upadła do nóg nowemu Monarsze, błagając, ażeby raczył powrócić „do domu." Naturalnym był wybuch oburzonego Petersburga, który uczuł się głęboko dotknięty zarzutem, że nie stanowi „domu" dla swego Władcy, oraz zuchwałością „biało/kamiennej," pragnącej znowu burzyć reformy minionego panowania. Nie padł jeszcze ostatni strzał, bo obie strony nie usłyszały jeszcze stanowczego hasła, rozstrzygającego na czas pewien losy boju. Sądzimy wszakże, że moskwiczanie utracili nadzieję zwycięztwa. Daremnie czekają w pełnej uprzęży dla pociągnięcia wszystkiemi siłami rydwanu reakcyi, rydwanu tego rząd nie wytacza. Zresztą nie musi sprawa być pewną, skoro sam hetman tej armii, p. Katków, ćwiczy się jak zwykle w strzelaniu do starej tarczy — Polski.

Każdorazowy rezultat walki dwu grodów nie jest dla nas obojętnym. Czego zawsze możemy się spodziewać od tryumfu Moskwy, to najlepiej sam Katkow opowiedział, ten prawdziwie *ślepy* Homer obecnej Iliady rosyjskiej, w której p. Aksaków daremnie chce zostać Achillesem i buduje drewnianego panslawistycznego konia.

Każde państwo robi kroki naprzód, robi je wstecz; przedział jednakże między Petersburgiem a Moskwą jest tak dziś wielki, że bez niebezpieczeństwa ono go przeskakiwać nie może. Według naszego przekonania dla Rosyi nadeszła chwila stanowczego wyboru między tymi dwoma krańcami, albo raczej stanowczego oddalenia się od tego, który siłą odśrodkową od ogniska cywilizacyi gwałtownie się odrzuca. Moskwa ze swymi ideałami, nie może być arką ideałów i zasad przyszłości narodu rosyjskiego, naturalnie przyszłości pomyślnej. Naród ma obecnie dwa punkty ciężkości, rzuca się ustawicznie w przeciwległe strony, podlega działaniu dwu przeciwnych a więc wzajemnie znoszących się sił, i dla tego zamiast iść naprzód, stoi na miejscu. Gdy Petersburg wprowadzi ziemstwa lub sądy przysięgłych, Moskwa popsuje maszyny tych instytucyj i nie pozwoli im działać prawidłowo. Dopóki ona, bodaj tylko chwilowo, zapanowywać będzie nad życiem państwa, dopóty ono nie zacznie kroczyć po drodze powolnego, ale ciągłego rozwoju. Macając po wierzchu znaleźć można tę lub inną najbliższą przyczynę ustawicznych wstrząśnień; ale najgłębszem ich źródłem pozostanie zawsze głucho nurtująca reakcya starej Moskwy, dusząca wpływy nowego Petersburga. Piotr W., założywszy swój gród, wybił nim — jak się wyrażają rosyanie — okno do Europy. Przy tem oknie zgromadziły się najoświeceńsze koła, które ciekawie wyglądają przez nie na świat szerszy i radeby każdą dostrzeżoną nowość przeprowadzić do swego domu; siedzący wszakże w jego kątach stróże starego zwyczaju kułakami pragną z swych braci wystraszyć reformatorską duszę. Stąd to ciągłe boksowanie się prasy moskiewskiej z petersburską, stąd te ciągłe denuncyacye, oskarżenia o zdradę kraju, i t. p. Pobłażliwi świadkowie tych bojów powiadają, że serce Rosyi kłóci się z jej głową; ze względu na Moskwę porównanie zbyt pochlebne.

Wniosek naszych uwag prosty: Rosya od tej chwili żyć będzie spokojnie, szczęśliwie, gdy zacznie być Petersburgiem — ciągle.

F. P.

---

teraz zajął się temi, które mogły w prost świadczyć o jego niewinności.

A mianowicie zapytał, jakim sposobem mógł on znajdować się przed karczmą kiedy wpadł tam koń Arona? Czyż ta okoliczność nie była stanowczym dowodem, iż zbrodni spełnić nie mógł. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż koń ruszył z miejsca, w chwili, gdy Aron, uderzony śmiertelnie, spadł z wózka, a jak zwykle koń, gdy dom poczuł, biegł rącz. Jakimże sposobem Jędras mógł przed nim znaleść się w odległości wiorsty od miejsca wypadku? Chociażby przeciw niemu były daleko ważniejsze poszlaki niż te, jakie stawiano, jeszcze by to jedno obaliło je stanowczo.

Przekonanie, z jakiem wypowiadał te ostatnie argumenta, było tak gorące, iż zaczynało udzielać się sędziom; sokoli wzrok obrońcy dostrzegł to szybko, zaledwie widoczny uśmiech tryumfu zaigrał na wargach jego. I nie poprzestając na uczynionem wrażeniu, zakończył swoją krótką, zwięzłą a przekonywającą mowę kilku dobitnemi słowami, przypomniał, ile razy pozory omyliły sprawiedliwość ludzką i żądał zupełnego uwolnienia swego klienta.

Dla wszystkich, znających dobrze fizyognomię sali sądowej, sprawa przybierała niespodziewany obrót. Szmer pochlebny przyjął obronę, a gdy wypowiedziawszy ją, adwokat usiadł na swojem miejscu, wszystkie oczy bez wyjątku zwróciły się na niego. Ale w tej chwili on na to nie zważał, nerwy jego były podrażnione, porwany własną wymową, jak gracz, co rzucił wielką stawkę na kartę, oczekiwał z wewnętrznym dreszczem tego, co wypadnie. Twarz jego inteligentna, pełna ognia, podatna ku wszelkim zmianom wyrazu, wzrok pełen nieujętych wibracyj odbijał od apatycznej postawy i ponurej fizyognomii podsądnego, który w nieruchomej postawie zdawał się nie rozumieć w tej chwili, że chodziło o niego, gdy tymczasem adwokat z trudnością mógł ukrywać swoje wrażenia.

Sąd oddalił się na naradę, a w sali, w której zrazu panowała cisza oczekiwania, zaczęły krzyżować się szepty cichej rozmowy a wreszcie coraz głośniej zamieniane słowa.

Piękna dziewczyna o siwych oczach milczała, teraz i ona także miała wzrok wlepiony w obrońcę, którego delikatny profil rysował się wyraźnie na białawym tle ściany. Z mowy jego, wypowiedzianej w urzędowym języku, nie zrozumiała ani jednego wyrazu, a przecież czuła się przekonaną, przekonaną samym dźwiękiem jego głosu, samą siłą spojrzenia. To, co on mówił, musiało być prawdą. Byłaby pragnęła wypowiedzieć mu to słowem lub chociaż spojrzeniem, ale on miał wzrok wlepiony w drzwi sali, do których weszli sędziowie.

Minuty wlokły się długie, powolne, wreszcie woźny donośnym głosem zapowiedział powrót sądu, wszyscy powstali i wśród wielkiej sali, drgającej oczekiwaniem, przeleciał anioł ciszy.

Wreszcie zabrał głos prezydujący i odczytał sentencyę wyroku. Była ona krótką bardzo, nie wszyscy ją zrozumieli, tylko twarz adwokata zabłysnęła dumą tryumfu i jednogłośny okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

— Niewinny!

Wymowa jego odniosła zwycięztwo, zakład był wygrany, obronił pierwszą sprawę, w jakiej przemawiał. Koledzy cisnęli się do niego, winszując, ale teraz on zwrócił się ku publiczności i szukał tych siwych oczów, które może były mu podnietą i bodźcem. Siwe oczy należały do bogatej dziedziczki; adwokat bez spraw był nadto dumny, ażeby prosić o jej rękę; musiał wprzód dobić się sławy przynajmniej. Siwe oczy błyszczały jak dwie gwiazdy zwilżone i przyzywały go do siebie, biegł ku nim, słuchając pochlebnego szmeru, który otaczał go zewsząd.

A podsądny? O nim zapomniał zupełnie. Uwolnił go, czyż to nie dość, cóż go teraz obchodził ten pospolity zbrodniarz; przemawiał świetnie w jego obronie. Przekonał wszystkich o jego niewinności, tylko nie samego siebie.

SPRAWA KOBIET

(E. Legouvé).

I.

„Kwestya kobiety jest na porządku dziennym w teatrze, w książkach, w dziennikach, na trybunie, — wszędzie umysły poważne proponują i żądają ważnych zmian w tym przedmiocie; nawet akademia w tym roku poświęciła na to 5,000 franków: zdaje mi się więc, że nadeszła chwila, aby z tych luźnych rozpraw wydostać całość kwestyi, odszukać legalność i możność zastosowania zasady, na jakiej się one opierają, to jest *równości*."

Oto są słowa Ernesta Legouvé, który przed kilku dniami na swe akademicko-poetyczne plecy wziął ciężar krzywd, przez przeszłość i teraźniejszość wyrządzanych kobiecie, i poniósł go na górę zagadek, mających się rozwiązać w niedalekiej przyszłości. Szanowny akademik, jak na dobrego obrońcę przystało, rozpoczyna kwestyę *ab ovo*. Więc naprzód nastręczyło mu się pytanie, skądinąd usprawiedliwione, co to jest kobieta? Jest-li ona, jak w Piśmie Świętem, dodatkową częścią człowieka; jak na koncyliach średniowiecznych—istotą, której dusza może być zakwestyonowaną; jak u poetów i filozofów — naprzemian aniołem lub dyablem; jak u Rousseau'a— istotą „stworzoną specyalnie dla podobania się mężczyźnie;" lub jak u Napoleona i Bonalda— umysłowo i fizycznie o tyle niższą od mężczyzny, że nie tylko „nie jest nam równą, ale nawet nigdy stać się nią nie może"?

Legouvé na wszystkie te pytania odpowiada jednem wielkiem: *Nie*.

„Na niebie znajdują się drugorzędnej wielkości gwiazdy, satelity, których przeznaczeniem jest kręcić się około gwiazd wielkich, aby im służyć za orszak; taką rolę zajmuje księżyc około ziemi. W mniemaniu przeszłości kobieta jest „księżycem mężczyzny," istotą niższą i względną, a wszystkie prawa, regulujące kwestyę kobiety, wyszły z tej definicyi. Lecz postęp sprowadził zmiany w przekonaniach i żąda zmiany losu kobiety w rzeczywistości. Dotąd prawo traktowało ją jako istotę podwładną mężczyźnie, ponieważ niższą. „Śmiejmy powiedziedzieć głośno i to wbrew panu Bonald (filozof z czasów Restauracyi), że kobieta jest równą mężczyźnie, będąc jednakże zupełnie od niego różną. Nie chodzi tu więc, aby ją podnieść do godności, na jaką zasługuje, o upodobnienie jej do mężczyzny, gdyż to byłoby wynaturzeniem jej i skażeniem, lecz o rozwinięcie jej coraz więcej jako kobiety. *Równość w różności:* oto nasza zasada!"

Nic słuszniejszego nad skonstatowanie faktu i żądania pana Legouvé. Kobieta, będąca tak samo człowiekiem jak mężczyzna, powinna mieć jego prawa i o te prawa walczyć dopóty, dopóki ich nie osiągnie. System dzisiejszy musi być zwalony i każdy człowiek, widzący sprawę nie przez egoizm, lecz przez poczucie sprawiedliwości, powinien się przyczynić do obalenia dzisiejszego prawnego i ekonomicznego porządku, który oddaje kobietę na łaskę dobrej lub złej woli mężczyzny. Zachodzi tylko pytanie, do kogo się zwrócić z żądaniem i jaką drogę obrać, aby trafić do celu najskuteczniej i najprędzej.

Pan Legouvé—ponieważ prawodawca wyrządził krzywdę całej połowie rodzaju ludzkiego—zwraca się do prawodawcy, i malując mu w poetycznych barwach los kobiety, stara się go rozczulić, rozrzewnić i w następstwie skłonić do czynnej interwencyi, do obrony kobiety nowymi paragrafami kodeksu, do stworzenia artykułów na dzień jej urodzin, zapomnienia się, ślubu, wdowieństwa i tych wszystkich chwil jej życia, w których dotąd jako istota niższa nie mogła ona występować bez upoważnienia mężczyzny, jako ojca, męża, syna, dalszych krewnych, a nawet i męża, od którego prawnie została odseparowaną.

Są ludzie, którzy nie umieliby zrobić jednego kroku, gdyby nie wiedzieli, że prawo zawczasu przewidziało wypadek i odpowiednim paragrafem zabezpieczyło los ich życia i możność swobodnego poruszania się. Do takich ludzi niezawodnie należy i Legouvé, który przy całej trzeźwości swojego umysłu nie chce widzieć złego gdzieindziej niż w kodeksie, i wprowadzenia dobrego inaczej niż przez kodeks—jak gdyby kodeks sam nie powinien być czemś zmiennem, łatwo się naginającem do zmian w obyczajach, wyrazem jedynie obyczajów, nie zaś ich regulatorem.

Weźmy najważniejszy rozdział w *kwestyi kobiet* Legouvé'go: *młoda dziewczyna*, i wydostańmy zeń myśl autora. Rozdział ten jest prześlicznym obrazkiem z życia naszych obyczajów — naszych, nie zaś specyalnie francuskich, ponieważ stosunek mężczyzn do kobiet i *vice versa* na całym świecie ma ten sam charakter.

„Każdy ojciec rozsądny — pisze Legouvé — przyjmując w swoje ręce nowonarodzoną córkę, powinien zapytać się z niepokojem: „Co się z nią stanie? Dla dziewczyny życie jest tak twarde i niepewne! Biedna? Ileż powodów nędzy! Bogata? ile powodów do moralnych bólów! Jeżeli do swego utrzymania się nie ma mieć nic innego nad własną pracę, jak jej dać zawód, który by ją wyżywił w społeczeństwie, gdzie kobiety zarabiają zaledwie tyle, aby nie umrzeć z głodu? Jeżeli nie ma posagu, jak ją wydać za mąż na tym świecie, gdzie kobieta, przedstawiająca zawsze tylko stronę bierną, jest zmuszona do kupowania sobie męża? Jeżeli nie wyjdzie za mąż, jak ją uchronić przy tylu sposobnościach od upadku; a jeżeli upadnie, jak ją podnieść w łonie tego porządku rzeczy, gdzie każdy błąd liczy się jej tak ciężko?... I Legouvé, przemknąwszy się lekko po kwestyi posagu i wychowania, przechodzi wprost do kwestyi upadku kobiet.

„Gdyby nam powiedziano — pisze on dalej — że istnieje kraj, w którym na czystość kobiecą nałożono tak wysoką cenę, iż dla kobiet nie jest to już jedną z cnót ale *cnotą*; gdyby nam powiedziano, że utra-

---

Dziewczyna o siwych oczach powstała wraz z matką, tak jak inni. Tylko gdy inni wychodzili tłumnie, ona się tak oddalić nie mogła. Ona musiała wprzódy zobaczyć go, wypowiedzieć choć w jednem słowie lub spojrzeniu wszystko, co czuła.

— Pan obroniłeś niewinnego, zawołała, widząc go przy sobie.

Nie odpowiedział nic. Być może, iż te słowa zadźwięczały mu trochę fałszywie. Nie myślał przecież wyprowadzać ją z błędu. Czytał zachwyt na jej twarzy, imię jego powtarzały wszystkie usta, widział, że otwierała się przed nim jasna przyszłość, i był nią upojony.

A podsądny? On nie rozumiał uwalniającego wyroku, jak nie rozumiał całego biegu sprawy. Hałas, który powstał pomiędzy publicznością, na kształt szumu wzburzonego morza, nie powiedział mu nic. Zwrócił na swego obrońcę niespokojne, błagalne wejrzenie. Ale on już był daleko, przy pięknej pannie.

Przyszło mu na myśl, że nadzieja wolności była dla niego stracona, że adwokat nie chciał mu tego powiedzieć i spuścił głowę na piersi. Czuł, że teraz miało się z nim dziać coś okropnego, zdawało mu się, że wpada w jakąś otchłań, że zaciskają się nad nim mury i sklepienia. Dusił się, a w pamięci jego jasne promienie słońca, jak złote strzały, przerzynały leśne głębie, gwiazdy mrugały migotliwem światłem z niebieskiego stropu, przelatywały swobodne wichry i muskały mu czoło rozpalone, po którem spływał pot kroplisty.

— No! jesteście wolni—odezwał się wreszcie jeden z woźnych, zdziwiony jego nieruchomością.

Jędras drgnął, podniósł głowę nagłym ruchem, ale nie dowierzał. Zdawało mu się, że ludzie, jak zwykle, szydzili z niego.

Chciał powtórzyć to słowo „wolny," wargi spieczone poruszyły się tylko bez dźwięku.

— Wolny, wolny—powtórzył za niego woźny, podziękujcie panu adwokatowi, dokazał on prawdziwego cudu.

Jędras obejrzał się. Rzeczywiście straż nie zważała więcej na niego. Powstał, nikt mu nie kazał usiąść, ani iść w naznaczonym kierunku.

— Jakto, zapytał woźnego ja... ja mogę...

— A możecie iść, gdzie wam się podoba, roześmiał się woźny.

Jędras wyprostował się i ta barczysta postać, ta głowa o zwierzęcym wyrazie, okolona bujnymi kędziorami zwieszonych włosów, zarysowała się w całej charakterystycznej grozie na tle świetnej sali i eleganckiej publiczności.

Wzrok jego zachował ponury wyraz, a kościste ręce zdawały się szukać broni czy podpory, do której przywykły. Wstąpił w niego wyraźnie duch nowy. Z tym jednym wyrazem *wolny* zadrgały wszystkie instynkta dawne i zarysował się człowiek, niepodobny wcale do tej zgarbionej, przygnębionej istoty, noszącej nazwę: *więzień*.

I przyznać to trzeba, człowiek ten tak mało wzbudzał zaufania, iż usprawiedliwiał najzupełniej oskarżenie, które zaprowadziło go przed sąd. I gdyby ci, co wydali wyrok uniewinniający, za sprawą porywającej wymowy adwokata, ujrzeli go takim, jakim był w tej chwili, zapewne całe krasomówstwo jego byłoby zupełnie daremne, bo każdy zadrżałby na samą myśl spotkania się z tym człowiekiem na pustej ulicy, lub lesistej drodze.

On przecież nie zdawał sobie bynajmniej sprawy z wrażenia, jakie sprawiał, a gdyby i rozumiał je, prawdopodobnie wrażenie to obchodziłoby go niezmiernie mało. Szerokie usta jego otworzone były półuśmiechem, a pośród mięsistych warg błyszczały białe, naprzód wysunięte zęby, nadając całej fizyognomii zwierzęcy wyraz.

Woźny, który mówił do niego, przed chwilą pokazał mu, którędy wyjść z sali, bo Jędras nie mógł się wśród niej rozpoznać, a czyniąc to, posługacz sądowy przypatrywał mu się w milczeniu i kiwał głową, jakby wyrok sądu nie bardzo trafił mu do przekonania.

ta tej cnoty zbezczeszcza nie tylko winną, lecz jej rodzinę, tak, że widziano córki zabite przez ojców jedynie tylko z powodu tego błędu; gdyby nam powiedziano nadto, że kobiety w tym kraju uważane są za tak lekkomyślne i tak słabego charakteru, iż przez cały czas małżeństwa pozostają nieletniemi; gdyby nam wykazano, że w tym narodzie wszyscy mężczyźni, biedni i bogaci, piękni i brzydcy, szlachta i chłopi, popchnięci, ci przez namiętność, tamci z nudów, inni znowu przez próżność, rzucają się w pogoń za tą cnotą, jak ogary za zwierzyną; że nareszcie przez dziwną sprzeczność, ten sam świat, który zbezczeszcza upadające, wysławia tych, którzy je do upadku przywiedli, i odznacza ich powodzenia nazwą zwycięztwa; z pewnością, gdyby taki obraz był nam przedstawiony i gdyby nam kazano odgadnąć charakter prawa w tym kraju, powiedzielibyśmy: jedyną myślą prawodawcy jest bronić kobietę przeciwko mężczyźnie i przeciwko niej samej; rzuci się on pomiędzy kaziciela i ofiarę, każdy uwodziciel będzie skarany podwójnie, gdyż robi i popycha do robienia złe.“

Co więcej, obok uwodziciela jeszcze istnieje klasa ludzi, której zadaniem jest ułatwianie rozpusty, namawianie do upadku, wyzyskiwanie naiwności, aby handlować niewinnością, i ta klasa ludzi nie podlega wyższej karze niż za prostą kradzież, to jest: zamknięciu od sześciu miesięcy do dwóch lat i zapłacenie od pięćdziesięciu franków do stu.

„Lecz na czem, wielki Boże! polega tyle pobłażliwości dla tylu występków? Na czem?... Na dwóch moralnych przepisach:

— Wszelka umowa, mająca za przedmiot rzecz bezwstydną, prawnie uważa się za niebyłą.

— Przyznać występnej dziewczynie możność sądowego dochodzenia uwodziciela, jest to zachęcać do rozpusty.

Zachęcać do rozpusty! Lecz jakąż haniebniejszą, potężniejszą możecie jej przyznać zachętę od bezkaralności mężczyzny? Jakto! nie widzicie więc, że rozbrajając młodą dziewczynę, uzbrajacie uwodziciela! Nie widzicie, że do wszystkich środków bogactwa, zręczności, doświadczenia, zmysłowego lub pełnego pychy zapału, dodając sankcyę waszego uwalniania, stajecie się sami jego pośrednikiem lub jego wspólnikiem! Nie! nie wstydu to publicznego bronicie, lecz udzielnej władzy mężczyzny w tem, co ona ma najszkaradniejszego, — *prawa pana* (le droit du seigneur).“

Ani słowa! niesprawiedliwość to krzycząca! Kodeks tu jest poniżej wszelkich uczuć! Lecz co robić?... Legouvé proponuje zniesienie paragrafu 340, który zabrania dochodzenia ojcowstwa i żąda kryminalnej kary na uwodziciela. Żądania jego są słuszne i nie potrzebują silniejszej argumentacyi od przytoczonych powyżej wyjątków z *Kwestyi kobiet*, gdyż nie każdy człowiek jest prenumeratorem *Kuryera Warszawskiego* i nie każdy nawet może prenumerator *Kuryera Warszawskiego* paragraf 340 kodeksu Napoleona uważa za „dziecko postępu“. Ale przypuśćmy, że kodeks zostanie poprawiony w myśl sprawiedliwości i ludzkich uczuć; że odtąd każdy Don Juan płacić będzie za swoje tryumfy, a każda uwiedziona dziewczyna znajdzie mściciela swojej krzywdy w prawodawcy i jego ludzkiem dziele. Czy przez to jednak *Kwestya kobiet*, kwestya upadku dziewczyny zostanie załatwioną? Bynajmniej, choć Legouvé o tem ani wątpi, i to jest właśnie słaba strona jego ostatniej pracy. Kodeks bowiem, choćby oparty jak na najwyższych zasadach sprawiedliwości, nie wytwarza obyczajów, nie podnosi poziomu moralności, nie podstawia dobrych popędów na miejsce złych, nie przeduje instynktom, lecz co najwyżej karci je i karze po spełnieniu. Jakkolwiek więc byłby liberalnym paragraf, odnoszący się do stosunku pomiędzy uwodzicielem i uwiedzioną, nie jest on w stanie obronić kobiety od upadku i ocalić jej szczęścia po fakcie spełnionym w najprzyjaźniejszych nawet dla niej warunkach i to tak długo, dopóki dzisiejsza instytucya małżeństwa w swojej formie dzisiejszej i wychowanie kobiet w swojej treści istnieć będą. Pierwszej z tych kwestyj Legouvé nie dotyka nawet wcale, jak gdyby tam nie było nic do zreformowania, nic więcej nad potrzebę zniesienia prawa majątkowej wspólności, które robi męża panem majątku żony. Drugą zaś uważa za załatwioną, jak gdyby postęp w teoryi był zarazem postępem w praktyce, poprawieniem stanu obyczajów.

„Sprawa wykształcenia — pisze on — jest bardzo blizką wygranej: piętnaście dni temu senat zagłosował prawo, zaproponowane przez pełnego inicyatywy i talentu młodego posła, pana Sée, — prawo o wyższem nauczaniu młodych dziewczyn.“ Odtąd „ich myśl zostanie napojona silną wiedzą, która pozwoli im przyjąć udział w myślach męża, we wszystkich naukach ich dzieci.“ Odtąd „wszystkie talenta, wszystkie cnoty urabiane w młodych dziewczynach nie będą miały za jedyny cel małżeństwa, lecz właściwie mówiąc męża.“

Zgoda! lecz w tym postępie kwestya uwodzenia, która autorowi leży tak bardzo na sercu, zostaje na stronie. „Bez wiedzy matka nie jest zupełną matką; bez wiedzy małżonka nie jest zupełną małżonką.“ Legouvé wiele myśli tylko o wiedzy dla kobiety, która została już matką i małżonką, myśli o zniesieniu różnic wykształcenia pomiędzy legalną żoną a legalnym mężem, pomiędzy prawą matką a prawem jej dziedzięciem, jak gdyby jego społeczeństwo wskutek dzisiejszej instytucyi małżeństwa i dzisiejszego wychowania nie miało w swem łonie półtora, tak, *półtora miliona* obywateli bez cywilnego stanu, nielegalnych, niemających cywilnych praw, wskazywanych palcem za swoją niewinność i za błędy swoich matek, i razem ze swojemi matkami uważanych za paryasów społeczeństwa.

Gdzież teraz zwrócić się należy po rozwiązanie kwestyi? Zapytajmy Emila Girardin, a on nam odpowie:

„Jednym z głównych błędów czasu i kraju, w którym żyjemy, jest żądanie nieskoń-

---

— Hm! — mruknął — wartoby się pięknie panu adwokatowi pokłonić, bo gdyby nie on!...

Nie dokończył frazesu, ale można było przysiądz, iż nie pochwalał wcale tak skutecznej obrony.

Nazajutrz rano adwokat siedział przed biurkiem i pisał. Jaskrawe zimowe słońce wpadało do pokoju przez wielkie weneckie okno i rzucało złote odblaski na przedmioty w nim rozrzucone. Adwokat miał artystyczne gusta, więc na ścianach pełno było obrazów, fotografij, medalionów, na stołach w pośród albumów, książek, pism, błyszczało tysiące fraszek, które powoli stały się niezbędnemi dla ludzi o rozwiniętej inteligencyi i estetycznem wykształceniu.

W marmurowym wazonie stała jakaś roślina o wielkich tłustych liściach, które, rozkładając się szeroko w promieniach słońca, nabierały szmaragdowych tonów, tu znowu stała lampa na etońskiej podstawie, malachitowy kałamarz i przybory pisarskie odbijały od złocistego bronzu popielniczek na biurku, a starożytny zegar z czasów napoleońskich, przedstawiający spiżowy rydwan ciągniony przez lwy, wydzwaniał donośnie godziny i kwadranse.

Młody adwokat wesołym był dnia tego, jak słoneczny poranek. Wieczór poprzedni zakończył się świetniej jeszcze i szczęśliwiej, niż rozpoczął. Siwe oczy przemówiły tak wyraźnie, iż on także przemówił wreszcie i dzień ich zaślubin na koniec maja naznaczony został. Mógł więc teraz swobodnie marzyć o przyszłości i o tym rozkosznym miesiącu maju, nie darmo sławionym przez poetów. Marzył więc o cichej wsi, gdzie mieszkała jego ukochana, o wsi, którą nieraz odwiedzał, i czuł w powietrzu zapachy bzów i jaśminów rozkwitłych, a wśród nich okazywało mu się okno o firance falującej z wiatrem a wśród zwojów zielonych liści i białych muszlinów błyszczała jasna głowa dziewczęcia z siwemi oczami.

Marzenie to rozkoszne nabierało powoli pozorów rzeczywistości i na białej karcie papieru, po której pióro jego biegło czas jakiś, zarysowały się wyraźnie siwe oczy i spoglądały na przemian figlarnie, smutno, wesoło, a zawsze miłośnie.

Nagle usłyszał dzwonek w przedpokoju, krok ciężki, a wreszcie drzwi się otworzyły.

Siwe oczy spłoszone, znikły w jednej chwili, adwokat nierad z tego podniósł głowę i ujrzał człowieka, w którym nie poznał narazie swego wczorajszego klienta.

Nie widział odmiany, jaką w nim zrządziło to jedno słowo „wolny“, nie znał tego wyrazu ponurej buty i dzikiej śmiałości, jaki wraz z uniewinniającym wyrokiem, wystąpił mu na czoło i przez chwilę spoglądał na niego, nie poznając.

Jędrasowi to na myśl nie przyszło, posiadał bystrość wzroku pierwotną, człowieka raz widzianego poznawał z takiej odległości, w której kto inny zaledwie postać ludzką mógł dostrzedz.

— Wielmożny adwokacie, odezwał się, zwracając się ku niemu z wyrazem wdzięczności, który rozjaśnił na chwilę jego ponure rysy i napiętnował je uśmiechem dziwnym, to ja — Jędras.

Uśmiech odsłaniał jego wielkie białe zęby i nadawał mu nieokreślone podobieństwo do wilka.

Młody człowiek patrzał na niego przez chwilę, postać ta, pomimo przyjaznego wyrazu, miała w jego oczach coś wstrętnego, zjawiała się wśród marzeń, jak ton fałszywy — złowrogi. Typ zwierzęcy tego człowieka odbijał tak wstrętnie przy pięknem widziadle, jakie nosił w oczach, iż wzdrygnął się mimowoli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walerya Marrené.

czenie wielkich rzeczy od prawa, a nieskończenie małych od obyczajów. Kto tworzy prawa? Samowładność, która je nakazuje. Kto tworzy obyczaj? wolność, która je poprawia.“ Lecz Legouvé żąda paragrafów.

„Logika chce, aby wszystkie dzieci były równe wobec matki, i aby odtąd nosiły jej imię; aby macierzyństwo nie było hańbą, lecz ciągłym zaszczytem.“ Lecz Legouvé żąda artykułów, któreby swoją ostrością wpłynęły na zmniejszenie liczby dzieci naturalnych, dzieci podzielonych wciąż na dwie kategorye: prawych i nieprawych, podobnie do dawnych dwóch kategoryj ludzi, z których jedni należeli do siebie, inni zaś nie.

„Prawda, to swobodny związek mężczyzny z kobietą przy całej świadomości sprawy i uszlachetniony długotrwałością.“ Lecz Legouvé widzi małżeństwo i rodzinę tylko w regestrach cywilnego stanu.

„Fałsz, to nierozerwany związek zawarty przy całej wzajemnej nieświadomości i spodlony cudzołóztwem.“ Lecz Legouvé widzi moralność tylko w ceremonii, bodajby nawet kościelnej, byle przy czterech świadkach, byle czarno na białem. Dziecko zrodzone po za małżeństwem według niego nie przestaje być hańbą dla matki; popęd naturalny i powolność dziewczyny nazywa on rozpustą, choćby jej wolą kierowała miłość; a rozszerzenie granic teoretycznych wiadomości — wychowaniem, choćby dziewięć dziesiątych dziewczyn padających bezwładnie w ramiona kochanków wierzyło, że dzieci przynosi bocian.

W obyczajach, w ich poprawie, w ich reformie więc szukać należy rozwiązania zagadki, nie zaś w kodeksie, który jest i będzie bezsilnym; nie w wyższym wykształceniu tych kobiet, które je odbierać mogą, lecz w podniesieniu poziomu ogólnej oświaty i w usunięciu z wychowania tajemnic natury, które aż dotąd przynajmniej dawały największy kontyngens upadłych. Nie przeszkadza to jednak, aby żądanie zniesienia paragrafu 340 K. N. i prawo o wyższem nauczaniu młodych dziewczyn nie miały być dziełem sprawiedliwości i postępu, gdyż, nie wykorzeniając wprawdzie złego z łona społeczeństwa, nie przestają one być krokiem naprzód, krokiem ku *równości*, której legalność i możność urzeczywistnienia Legouvé z wielkim talentem pisarskim wykazuje w następnych rozdziałach.

Antoni Sygietyński.

POST TARTUFFA.

Karp' *à la daube*, pstrągi i homary,
Przy tem smaczna jakaś leguminka,
A przed zupką dobry *Sherry* stary,
A po zupce flaszka Szambertynka, —
Przy deserze Cliquot, Montebello
Mokka, *Fine Champagne*, Havanna; (yel-
[low!)
— Pość tak synu, jeśli dobrze trawisz,
To i smacznie zjesz, i — duszę zbawisz.

Bez buljonu zupa djablem lichem; —
Spuść się zatem na spryt twej kucharki,
Nieświadomość bowiem nie jest grzechem,
Ergo — lepiej jest nie patrzeć w garnki; —
Item co do karpia, ciekawości
Radzę strzedz się, o radzę Waszmości!
Bo i czemże wiedzy żądza wściekła?—
— Ot zwyczajnie—pierwszy krok do piekła.

Za to *puncto* pstrągów — pan pobożny
Oko baczne winien mieć na palcu
Swej kucharki, by przez wybryk zdrożny
Miasto masła nie użyła smalcu; —
Pstrąg na smalcu?— dbrrum! — Kto łamie
[posty
W sposób taki, wiecznej winien chłosty,
I powinien tą herezyą zmazan
Być do śmierci — na osypkę skazan!

Leguminką może być z kolei
Tort na przykład, z warstwą konfiturki;—
Item, dobrze jest *ad gloriam Dei*
Dodać trochę cytrynowej skórki. —
— Kto ten przepis spełni w założeniu,
Że ku swemu działał umartwieniu,
Nie popsuje leguminki „gustu,“
A otrzyma — trzysta dni odpustu.

Chambertina zlecić trochę trzeba; —
Cliquot w lodzie niech przyjdzie na stolik
Aby nie psuć świętych darów nieba!—
Za to będzie pobożny katolik
Czarną kawę dla „mortyfikacyi“
Pić bez cukru; — Bóg mu to zapłaci! —
A spaliwszy Havany część czwartą,
Rzucić resztę — i tak djabła wartą! —

Chochlik.

RÓŻNE ZDANIA.

W skarbnicy ludzkich uzdolnień jedną z najobszerniejszych półek zajmują—uczucia polityczne.

Odzywają się one wogóle nierzadko i może dlatego główną ich cechę stanowi gwałtowność. Jeżeli codzienne potrzeby podobne są do sprężyny zegara, która, nakręcona raz na dobę, rozwija się stopniowo i nadaje powolny bieg kółkom prac powszednich, to — uczucia polityczne są jak ładunek prochu. Lada iskra zapala go i powoduje wybuch.

O tysiącach kwestyj ludzie mogą rozmawiać: obojętnie, spokojnie lub z ożywieniem. Ale rozprawy mają przywilej budzenia namiętności. Ten sam człowiek, który w dyskusyi religijnej jest pobłażliwym sceptykiem, w nauce ostrożnym obserwatorem, w sztuce chłodnym krytykiem, ten sam, zadraśnięty w sferze politycznego uczucia, traci zimną krew, pobłażliwość i ostrożność, staje się rozjuszonym lwem, i z pod rękawiczek wysuwa żelazne szpony.

Za drwiny z narodowości polskiej, Kurnatowski wyzywa na pojedynek szesnastu niemców. Za znieważenie ambasadora Francya rzuca się w wojnę, w której toną miliardy roboczych dni, miliardy zebranych bogactw i setki tysięcy ludzkich istnień.

Harmonia barw i dźwięków, proporcya kształtów, gorące słowa i wdzięczne ruchy, to materyał uczuć estetycznych. Miecz, bagnet, świst ołowiu, potoki łez i krwi, to niestety! materyał, jakim do dziś dnia posługują się uczucia polityczne... Nie dlatego, że są wrażliwe i silne, ale raczej dlatego, że u milionów ludzi uczucia polityczne są uzdolnieniem ostatecznem i że nie panuje nad niemi *polityczny rozum.*

Wyobraźcie sobie towarzystwo złożone z przedstawicieli różnych narodowości i wyobraźcie sobie, że ktoś powiedział w tem gronie:

„Francya musi zginąć, jeżeli...“

Nie dokończy, bo zagłuszą go okrzyki: „To podłość!... to zdrada!... to wspaniałe!... to najwyższa prawda“ i tak dalej.

Tu przemówiło tylko uczucie, pogłaskane lub zadraźnione.

Rozum polityczny zachowałby się inaczej. Naprzód—wysłuchałby całego zdania, ażeby dowiedzieć się: w jakich warunkach może zginąć Francya; później — zastanowiłby się: o ile sensu ma podobne zdanie, a w końcu — o ile mieściłaby się w tem jakaś część prawdy — uznałby ją za przestrogę i zastosował w życiu.

Rozum polityczny nie spada na narody, jak na apostołów spadła moc ducha świętego. Rozum polityczny jest owocem ścierania zdań i powolnego namysłu. Chcąc rozwinąć tę zdolność, trzeba umieć słuchać, wiele słuchać, panować nad samym sobą i zestawiać rozmaite sądy. Trzeba nie upajać się frazesami przyjemnymi i nie wybijać pięścią na frazesy przykre. Słowem— trzeba odbyć w sobie i w społeczeństwie mozolną pracę.

Zdaje się, że teraz właśnie zbliżamy się do początku takiej pracy. Siła wypadków unosi nas ku epoce, kiedy mówić będziemy nie tylko o mostkach, podrzutkach, kanalizacyi i nadużyciach wójtów gmin, ale i o przedmiotach, wobec których zagrają nasze uczucia polityczne i pocznie budzić się z letargu polityczny rozum. Nieraz wypadnie nam sądzić nasze sympatye dla Francyi, antypatye do Niemiec, wyobrażenia o Austryi. Będziemy musieli zastanawiać się nad stosunkami polsko-rusińskimi, polsko-rosyjskimi, nad przyczynami naszych dotychczasowych klęsk i nad sposobami dźwignięcia społeczeństwa naszego tak wysoko, ażeby go nie zalała powódź kapitałów, ludności, języka i cywilizacyi germańskiej.

O wszystkich tych rzeczach musimy nietylko mówić, ale i sądzić je; nietylko sądzić, ale i wyciągać najprawdopodobniejsze wnioski, a potem — szybko stosować je w praktyce. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy myśli biegną telegrafami, a wypadki ekstracugami, kiedy rozum jest siłą, która starczy za armie, a pośpiech — warunkiem zwycięztwa.

W życiu społeczno-politycznem w jego wymaganiach, czynnościach, a nawet w rozprawach jesteśmy bardzo zacofani. Ażeby dogonić innych, musimy lata skracać w miesiące, a bynajmniej nie tracić czasu na repliki, dupliki, kłótnie, wyjaśnienia, sprostowania i odwoływania. Piszący musi ważyć słowa, a czytelnik — przyswajać je sobie nie uczuciem, ale rozsądkiem.

Na pierwszym kroku w polityczno-społecznej dyskusyi uderzy nas *różność zdań.* Każdy dziennik, jeżeli nie każdy artykuł mówić nam będzie co innego; my zaś nietylko musimy wytrwać i zoryentować się w tym chaosie, ale jeszcze wyciągnąć z niego naukę.

I dzisiaj istnieje już chaos różnych zdań, w dziedzinie najsilniej, jeżeli nie wyłącznie u nas rozwiniętej, w krytyce estetycznej.

Przeczytajcie naprzykład w kilku dziennikach zdania o nowym obrazie, albo o utworze scenicznym. Kiedy i w czem, przynajmniej na pierwszy rzut oka, zdania te zgadzają się ze sobą?... Jeden mówi, że: utwór jest specyalny, — drugi nazywa go lichym, trzeci znajduje, że nie jest nowym, a czwarty sądzi, że należało zamiast: *tego*, napisać: *owo.*

Co czytelnik kilku dzienników robi w podobnych wypadkach? Otóż — śmieje się i twierdzi, że krytycy: nie mają wyobrażenia o przedmiocie.

Ale inaczej zachowa się ten sam czytelnik wobec dyskusyi o sprawie polityczno-społecznej.

On nie będzie się śmiał. On odrazu pokocha tych, którzy dogadzą jego osobistym

upodobaniom, a znienawidzi tych, którzy mu nie trafią do smaku. Następnie wpadnie w jednostronność i stanie się zajadłym zwolennikiem jakiejś partyi, dla której poświęci bodajby powszechne dobro. Potem— widząc błędy swoich współwyznawców, przerzuci się do innego obozu, a nareszcie, poznawszy, że i tu i tam znajdują się sprzeczności, że jeden nazywa zdradą to, co inny zaleca jako obowiązek, — zniechęci się. Nauczy się nie wierzyć żadnej partyi i żadnemu poglądowi,—zobojętnieje dla spraw publicznych, a może wkońcu i powie sobie, że najlepsza jest ta partya, która—najwięcej płaci za głosy.

Tak działo się i tak dziś bywa we wszystkich krajach, gdzie w politycznym życiu panują uczucia zamiast rozumu. Zaczynano od zapału i poświęceń, kończono na zniechęceniu i przekupstwie.

Skąd pochodzi ta demoralizująca różnica zdań w sprawach, które najgoręcej zajmują ludzi i do których, mniej więcej każdy, przystępuje z miłością, rozwagą i czystemi rękoma?

Oto stąd, że społeczne zjawiska i stosunki są niesłychanie zawikłane.

Przedstawmy sobie taki obraz.

Maszerująca armia znajduje się w nieznanej okolicy. Zgubiono drogę — i zapadła noc; mapy stały się bezużyteczne, a przewodnicy potracili głowy.

Cofnąć się nie można, bo spalono mosty. Nie można stać zbyt długo, bo napływają coraz nowe oddziały. Trzeba iść naprzód, ale na przodzie widać jakąś czarną, ogromną masę.

W takich wypadkach ludzie słabego rozumu tracą energię. Ale armia wysyła zwiady.

Po paru godzinach wysłani wracają z raportami.

Jeden mówi, że widział straszną górę, drugi—głęboki parów, trzeci spotkał gęste krzaki, czwarty — gromadę stuletnich drzew, piąty bagno, szósty ścieżkę.

Czy sądzicie, że ci ludzie, którzy tak sprzeczne zebrali wiadomości, poczną się kłócić i wezmą się za łby? Czy jeden z nich będzie twierdził z uporem że: *tam* jest *tylko* góra, drugi — że *tam* jest *tylko* wąwóz, a trzeci, że — *tylko* krzaki?...

A może sądzicie, że armia uwierzy słowom jakiegoś swego ulubieńca i powie: wszyscy kłamią, tylko ten, który widział bagno, ten ma racyę!

Bynajmniej. Wodzowie armii powiedzą, że ten czarny, ogromny przedmiot, który leży przed nimi — jest puszczą. A dalej, że w tej puszczy, znajduje się góra w punkcie *A*, parów w punkcie *B*, krzaki w *E*, a ścieżka w punkcie *F*.

Różnica zdań posłużyła w tym wypadku do bliższego określenia nieznanej okolicy. Okolicę tą poznanoby mniej dokładnie, gdyby wysłuchano tylko jednego albo dwu posłańców. Poznanoby ją jeszcze dokładniej, gdyby posłańców było więcej, przypuszczając, że każdy z nich w ogólnych zarysach mówi prawdę.

Otóż armią w nieznanej okolicy jest społeczeństwo, zwiadami są dziennikarze, a puszczą — każda nowa kwestya społeczna. Kwestya społeczna, to nie szpilka, o której dość powiedzieć, że ma łepek i ogonek i którą każdy pozna na pierwszy rzut oka. Kwestya społeczna to las, który stu ludzi musi przedeptać i gdzie—*każdy zobaczy co innego*. Jeden górę, drugi wąwóz, inny bagno, a inny ścieżkę. Dopiero polityczny rozum, musi każdej wiadomości przyznać racyę bytu i zużytkować wszystkie, nie dając przewagi jednym i nie potępiając innych.

Czy u nas dzieje się tak? Czy wielu posiadamy ludzi oświeconych, którzyby korzystali z *rozmaitych zdań*, nie wpadając w jednostronność?...

O teoryi Darwina jedni mówią, że jest arcydziełem, ponieważ ma takie a takie punkta dobre. Inni mówią, że jest nasieniem demoralizacyi, bo ma takie a takie strony wątpliwe i nieprzyjemne. W kwestyi żydowskiej ogół rozprawia tylko o szkodliwości żydów i — ani chce słuchać o ich społecznych zaletach. Sprawę serwitutów traktujemy przeważnie ze stanowiska właścicieli większych, — sprawę przemysłu tylko z punktu przewagi żywiołu giermańskiego nad krajowym.

Każdy piszący przemawia jak Bóg z ognistego krzaku, — każdy szczupłą sferę swoich wiadomości uważa za „całkowitą prawdę,“ — każdy w zdaniach różnych od własnego widzi głupotę lub złą wolę.

Jeżeli tak rzeczy stoją w kwestyi Darwina, albo fabryk, to co będzie gdy prasa zaczepi jakąś kwestyę polityczno-społeczną?... Jakie nienawiści zbudzą się wówczas, gdy zagra uczucie polityczne?... Jakie usłyszymy zarzuty i wymysły —i—jakie nieobliczone szkody może społeczeństwu wyrządzić smutny nałóg: uznawania tylko tych zdań, które robią przyjemność a pogardzania wszelkiemi innemi?...

Streszczam tezy.

Uczucia polityczne należą do najgwałtowniejszych i mogą stać się potęgą tylko burzącą, jeżeli nie zapanuje nad niemi — *polityczny rozum.*

Pierwszym warunkiem politycznego rozumu jest spokojne i rozsądne wysłuchanie jak największej liczby — *różnych zdań.*

Zbliżamy się do epoki dyskusyi polityczno-społecznych i dlatego żądamy, ze strony publiczności — tolerancyi dla zdań nietylko przyjemnych, ale i nieprzyjemnych dla naszego gustu. Tolerancya ta jest niezbędną, ponieważ każda kwestya społeczna jest jak las, w którym człowiek pojedyńczy widzi tylko jedną cząstkę, a dopiero zbiór wielu różnych poglądów daje nieco dokładniejsze wyobrażenie o całości.

Niech więc opinia publiczna pofolguje trochę obrożę, na której trzyma dziennikarstwo, — dziennikarze zaś niech sobie nawzajem — nie kneblują ust.

Bolesław Prus.

HYPNOTYZM.

I.

Są objawy przyrodnicze, i to objawy o tyle ciekawe, o ile ważne, które budzą powszechne zajęcie dopiero wtedy, gdy z nich jakiś sztukmistrz uczyni przedmiot publicznego widowiska. Faktem takim jest hypnotyzm, który dzięki... Hansenowi, robiącemu „cuda“ w rozmaitych stolicach Europy, ściągnął na siebie niezwyczajną uwagę. „Trzeba kuć żelazo póki gorące“ powiada przysłowie. To też fizyolodzy, korzystając z tej uwagi, występują z naukowemi objaśnieniami hypnotyzmu i przy pomocy rozgłosu Hansena przeprowadzają do ogółu wyniki badań naukowych. Jedno z takich objaśnień dał znakomity profesor uniwersytetu w Jenie, W. Preyer, z którego rozprawą [1]) poznajomimy naszych czytelników, kując również żelazo póki gorące. Bo przecież Hansen zamierza odwiedzić Warszawę.

Prawdziwym odkrywcą hypnotyzmu jest często wspominany, mało czytany, wielce ceniony i spotwarzany lekarz angielski James Braid. Z życia jego zapisano zaledwie kilka szczegółów, kilka wspomnień o znakomitym operatorze. Pewną jest tylko data śmierci—1860 r. Pierwsze jego prace poświęcone były wyłącznie chirurgii, dopiero od r. 1841 zajął się hypnotyzmem. Ogłoszone w tym przedmiocie rozprawy i wykłady publiczne wywołały takie napaści, że Braid ujrzał się zmuszonym do napisania ostrego pamfletu przeciwko pewnemu duchownemu, który go oskarżał, iż do magnetyzowania używa swego służącego i najętej pacyentki. Mimo zwycięstwa w tej walce niewielu zyskał zwolenników. Pomało wszakże, gdy po jego stronie stanął znakomity fizyolog Carpenter, koło wyznawców zaczęło się zwiększać.

Wielkie wrażenie zrobił artykuł Braida p. t. *Władza ducha nad ciałem*; głównem jednak, dotąd nieosłabionem i mało uzupełnionem dziełem była wydana w r. 1843 *Neurypnologia (Neurypnologie)*. Późniejsze prace Braida: *Magia, czary, magnetyzm zwierzęcy i hypnotyzm, Elektro-biologia, Hypnotyczna terapia* i inne, które Preyer szczegółowo wylicza, niewiele odsłoniły nowego, chociaż dostarczyły dość pouczających faktów.

Po przyznaniu zasługi temu, komu ona się należy, przejdźmy do samego przedmiotu.

Co to jest hypnotyzm? Jest to sen nerwowy, czyli szczególny stan systematu nerwowego, w jaki on sztucznie wprowadzonym być może przez długotrwałe, natężone zwrócenie uwagi, zwłaszcza zaś wzroku, na jakiś przedmiot niepobudzającej natury.

Ściśle biorąc —powiada Braid — hypnotyzm nie oznacza stanu, ale raczej szereg stanów, które przyjmują wszelkie możliwe postacie między prostem marzeniem a głębokim snem, usuwając z jednej strony wszelką świadomość i władzę woli, z drugiej wywołując nadzwyczajną egzaltacyę działań oddzielnych zmysłów, zdolności umysłowych i siły woli. Zjawiska te posiadają w części charakter psychiczny, w części zaś fizyczny—bywają dowolne, mimowolne lub mięszane, stosownie do stopnia uśpienia. Niesłusznie przypisywano hypnotyzmowi zupełne wykluczenie świadomości i woli. Znikają one zupełnie dopiero w głębokim śnie hypnotycznym.

Początkowo Braid mniema, iż cały mesmerizm, czyli tak zwany magnetyzm zwierzęcy, polega na oszustwie, tajemnem porozumiewaniu się, działaniu wzburzonej wyobraźni, skłonności i naśladownictwie. Pierwsze posiedzenie „magnetyczne,“ na którem Braid, ulegając życzeniu kilku swoich przyjaciół, był obecnym, utwierdziło go tylko w tem mniemaniu. Na drugiem jednak zwróciła uwagę jego okoliczność, iż pacyentki nie mogły utrzymać otwartych oczu. Zająl się więc zbadaniem przyczyny tego faktu, a chociaż, jak mniemał, już następnego wieczora ją odkrył, nie zdradzał się jednak ze swym domysłem, chcąc go stwierdzić doświadczeniami. Jakoż zaraz przedsięwziął w obecności przyjaciół szereg doświadczeń, które miały dowieść, że owo zjawisko jest skutkiem długotrwałego natężenia wzroku, przyczem ośrodki nerwowe oka wraz z ich rozgałęzieniami zostają porażone, co narusza równowagę systematu nerwowego.

Podczas doświadczeń pacyent dla tego z trudnością oczy mieć może otwarte, że wspomnianemu wyżej porażeniu podlega nerw, służący do podnoszenia powieki.

Braid usadowił młodego człowieka i polecił mu patrzeć nieruchomo na szyjkę butelki od wina, którą postawił tak blisko i na takiej wysokości, iż ustawiczne patrzenie na nią wymagało znacznego naprężenia wewnętrznych prostych mięsni ocznych i nerwów, służących do podnoszenia powiek. Po upływie trzech minut powieki opadły, strumień łez spłynął po policzkach, głowa się pochyliła, twarz wykrzywiła się mocno, westchnął i zapadł natychmiast w sen głęboki, przyczem oddech stał się bardziej wolnym, głębszym i przeszedł zwolna w chrapanie, podczas gdy prawe ramię i ręka drżały nerwowo. Po czterech minutach doświadczenie przerwano.

[1]) *Die Entdeckung des Hypnotismus,* w miesięczniku *Deutsche Rundschau,* luty, marzec.

Zwrócić należy uwagę, iż pacyent dokładał wszelkich sił, ażeby powstrzymać się od zamknięcia oczu, a więc nie mrużyć ich i nie mrugać. Wzburzenie, w jakiem znajdował się po zbudzeniu go, zadziwił wielce żonę Braida, która przez cały czas go obserwowała; mąż zaś nie znajdował się blisko, nie mógł go więc dotykać. Kiedy zaś oświadczyła, iż na nią by to tak nie podziałało, mąż postanowił poddać ją doświadczeniu. Kazał jej więc spoglądać nieruchomo w ozdobę spodka porcelanowego, który umieszczono na tejże, co butelkę, wysokości. Po upływie 2 minut zmienił się wyraz jej twarzy; po 2½ minutach powieki zamknęły się nerwowo, twarz skrzywiła się i pacyentka westchnęła. Upadła na ziemię i byłaby zapewne dostała paroksyzmu histerycznego, gdyby jej nagle nie zbudzono. Puls uderzał 180 razy na minutę.

Toż samo stało się służącemu, który nie miał pojęcia o mesmerizmie, i który nie wiedział, na jaki cel go przywołano.

Pacyent, nad którym Braid dokonał pierwszego doświadczenia, wpadł w sen głęboki przy powtórnej nad nim próbie, przyczem polecono mu spoglądać na inny przedmiot. Usypiał również, gdy go eksperymentator, jak magnetyzer, ujmował za wielkie palce u rąk i kazał patrzeć sobie w oczy; wreszcie i bez dotykania, przez samo patrzenie.

Po tych doświadczeniach, Braid przyszedł do następującego wniosku, iż w nich nastąpiło naruszenie równowagi ośrodków w mózgu i mleczu pacierzowym, oraz działalności serca i oddechu, jak również mięśni, spowodowane przez nieruchome spoglądanie na pewien przedmiot i zupełny spokój, a nadewszystko przez natężoną uwagę. Zwolnienie oddechu odbywa się równolegle z natężeniem uwagi.

Wówczas też już — w końcu 1841 r. — wyraził przekonanie, iż wszystko zależy jedynie od fizycznego i psychicznego stanu pacyentów, nie zaś od woli i ruchów operatora, który nie przelewa bynajmniej magnetycznego płynu i nie wprawia w ruch żadnego uniwersalnego medium.

Nie on pierwszy jednak twierdził, iż dotykanie zbytecznem jest dla wywołania zjawisk mesmerizmu. Owszem, w jednym z odczytów mówił nawet, że Mesmer magnetyzował drzewa w ogrodzie Franklina, ażeby przekonać komisyę akademicką w Paryżu, iż pacyenci zostaną zamagnetyzowani, jeżeli pod te drzewa podejdą.

Przez jakiś czas Braid uważał stany przez się wywoływane za identyczne z mesmeryzmem. Zdawało mu się pewnie, iż natężenie uwagi i wzroku następuje wskutek jednorodnych ruchów magnetyzerów, tak iż ci osiągają cel czasami, to także niejako przypadkowo. Istnieją wszakże tak znaczne różnice między stanem hypnotycznym, który następnie nazywano *braidyzmem*, i różnorodnemi zjawiskami mesmeryzmu, że łączyć ich niepodobna. W braidyzmie mianowicie brak wielu mniemanych objawów mesmeryzmu, których, mimo licznych prób, dotąd wywołać nie zdołano. Tu należy: rozpoznawanie skazówek zegarka kieszonkowego, umieszczonego z tyłu głowy lub na dołku brzusznym; czytanie zamkniętych listów i książek; spostrzeganie przedmiotów znajdujących się w bardzo znacznej odległości; rozpoznawanie i leczenie chorób przez osoby niewtajemniczone w naukę medyczny; wywieranie wpływu na pacyentów, znajdujących się w znacznej odległości, podczas gdy ci o zamiarach operatora nie wiedzą, lub w takowe nie wierzą.

Ani jedno z tych twierdzeń mesmeryzmu nie zostało uzasadnione krytycznie. Trzeźwy obserwator Braid powiada, iż mimo licznych starań nie zdołał znaleść dla nich potwierdzającego dowodu.

Zasadnicza różnica między jego postępowaniem a Mesmera polega na tem, iż pierwsze nawet bez magnetyzera łatwo i często, ostatnie zaś nawet z nim rzadko do zapowiedzianego doprowadza rezultatu.

Prócz tego Braid, w przeciwstawieniu do magnetyzerów, działał krytycznie, ażeby ustrzedz się omamień. Pozwalał badać doświadczenia swe wszystkim, najbardziej wątpiącym i sceptycznym kolegom oraz uczonym. Skłonił przytem kilku swych najlepszych przyjaciół, aby poddali się doświadczeniom i osięgnięte rezultaty ogłosił po upływie 2 lat, zachęcając przytem lekarzy do poświęcenia się bezstronnemu badaniu tego przedmiotu.

POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich.

IV.

Ostatnią familię aryoeuropejską w Europie (a obecnie już i w Azyi, t. j. w Syberyi) stanowi familia *słowiańska*. Z początku przedstawimy jej podział czysto lingwistyczno-etnograficzny, a następnie dopiero powiemy kilka słów o językach literackich, literacko-kościelnych i literacko-państwowych, wyrosłych na jej gruncie.

Z czysto naturalnego (lingwistyczno etnograficznego czyli dialektologicznego) stanowiska, familia słowiańska dzieli się na następujące gałęzie:

1) Gałąź *ruska*, najobszerniejsza i najliczniejsza, dzieli się przedewszystkiem na grupę narzeczy i gwar *wielkoruskich* czyli *północno-ruskich*. *Wielkorusy* mieszkają w jednej tylko Rosyi europejskiej i azyatyckiej, *małorusy* zaś, oprócz Rosyi, zaludniają jeszcze pewną część terytoryum *Austro-Węgier* (część Galicyi, Bukowiny i Węgier).

Od grupy *wielkoruskiej* w obszernem znaczeniu tego wyrazu należy oddzielić grupę gwar *białoruskich* (krywickich), których przedstawiciele mieszkają w północno-zachodnich guberniach Rosyi (w części smoleńskiej, następnie w witebskiej, mohilewskiej, mińskiej, wileńskiej i grodzieńskiej).

Grupa zaś wielkoruska w ścisłem znaczeniu (bez białoruskiej) dzieli się na dwie główne części: północną, „*o*kającą" (wymawiającą mniej więcej „ch*o*rosz*o*," „*o*l*o*wićk," „st*o*r*o*ná" i t. p.), i południową, „*a*kającą" (wymawiającą w przybliżeniu „ch*a*r*a*szó," „czelawićk," „st*a*r*a*ná" i t. p.), nie mówiąc już o drobniejszych odcieniach dialektycznych. Naturalnie wszystkie te nazwy są tylko tymczasowe i bardzo względne, zwłaszcza z powodu małej znajomości tak cech charakterystycznych pojedyńczych gwar ruskich, jak i ich podziału geograficznego.

Według zdania niektórych badaczy, nie można onaczyć ścisłej granicy, z jednej strony, między gwarami białoruskiemi i małoruskiemi, z drugiej zaś strony między gwarami małoruskiemi i wielkoruskiemi w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Brak danych nie pozwala rostrzygnąć, o ile prawdziwem jest to zdanie. Teoretycznie w nim nie ma nic niemożebnego.

Nietylko w dziedzinie wielkoruskiej, ale i w dziedzinie małoruskiej można odróżnić kilka odcieni dialektycznych. Ale tutaj odcienie te nie są tak znaczne, co też odpowiada mniejszej rozległości plemienia małoruskiego.

2) Jeżeli nawet nie ma ścisłej granicy między gwarami wielkoruskiemi i małoruskiemi, to już w każdym razie gwary *polskie* swojemi właściwościami charakterystycznemi silnie się odróżniają od sąsiadujących z niemi gwar białoruskich i małoruskich.

Ze względu na główne, najstarszego pochodzenia właściwości charakterystyczne, gwary *polskie* stanowią jedną grupę z gwarami *kaszubskiemi*, *połabskiemi* i *łużyckiemi*. Te trzy tylko co wymienione grupy należą do słowian, coraz bardziej asymilowanych przez otaczające je plemię niemieckie.

Ze słowian *połabskich* (nadelbiańskich) nie pozostało teraz ani jednego człowieka: ostatni mówiący po połabsku umarł w przeszłym stuleciu; potomkowie zaś dawniejszych połabian zupełnie zniemczeli. Oprócz nazwy jedyny ślad istnienia niegdyś połabian stanowią nieliczne zabytki piśmienne (napisane przez niemców) i nazwy miejscowości ich dawniejszego terytoryum, o ile niwelująca ręka germanizatorów nie zmiotła ich z powierzchni ziemi, jak to zawczasu, jeszcze przed zupełnem zniemczeniem plemienia polskiego, z godnem uwagi wandalizmem stara się ona wykonywać w polskiej części Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Kaszubów jest bardzo niewiele i mieszkają oni niedaleko od Gdańska. Postęp ich niemczenia można zbadać historycznie.

Łużyczanie czyli *sorbowie* (serbowie) otoczeni są ze wszystkich stron przez niemców i także znikają, *tają* po trochu: liczebność ich ciągle maleje. Mieszkają jeszcze w Saksonii (około Bautzen czyli Budyszyna) i w Brandeburgu (około Kottbus czyli Chociebuża) a dzielą się na dwie główne części: *łużyczan górnych* (głównie w Saksonii) i *dolnych* (głównie w Brandeburgu).

Jedynym etnograficznie silnem plemieniem tej grupy jest plemię *polskie*, chociaż na swych zachodnich kresach doświadcza ono także tego samego losu, co jego najbliżsi krewni, kaszubi i łużyczanie, t. j. albo samo stopniowo niemczeje, albo też ustępuje naciskowi niemców, posuwających się coraz bardziej na wschód. Ma to miejsce głównie w granicach Królestwa Pruskiego, w Prusach Wschodnich i Zachodnich, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i nareszcie na Szląsku, chociaż i w granicach państwa rosyjskiego plemię niemieckie posuwa się coraz bardziej na wschód, wypierając polaków i litwinów z ich dawnych posiadłości.

Oprócz Prus polacy mieszkają, jako ludność ciągła (jednolita), w Austryi (na Szląsku Austryackim i w Galicyi), w Królewstwie Polskiem (oprócz niektórych części gubernii suwalskiej, siedleckiej i lubelskiej), a następnie w pewnej części gubernii wileńskiej i grodzieńskiej. Zmięszani z litwinami, z białorusami i z małorusami, polacy mieszkają wogóle w miastach, w miasteczkach i wsiach gubernii zachodnich Rosyi, szczególnie zaś w guberniach wołyńskiej, grodzieńskiej, wileńskiej, kowieńskiej i mińskiej.

Rozumie się samo przez się, że jak gdzieindziej, tak i w dziedzinie grupy polskiej gwar słowiańskich istnieje kilka mniej lub więcej znacznych modyfikacyi czyli odcieni dialektycznych; ale teraźniejszy stan dialektologii polskiej nie pozwala nam dać dokładnych określeń pod tym względem. Można tylko wskazać na różnice gwar tak zwanych „mazurskich," szląskich (w kilku modyfikacyach), polsko-karpackich, kurpickich (kurpiowskich) i t. d.

3) Gałąź następująca *czesko-słowacka* czyli *słowacko-czeska*, dzieli się na dwie główne grupy: *słowacką* i *czesko-morawską*. *Słowacy* zaludniają północno-zachodni kąt Węgier, *czesi* zaś czyli *czecho-morawianie* — słowiańską część Czech, Morawii i niepolskie terytoryum Szląska austryackiego. Nieznaczne odrośle plemienia czesko-morawskiego istnieją także w Szląsku pruskim, nie mówiąc już o osadach czeskich w Rosyi, np. w gubernii wołyńskiej.

Dialektologia czeska jest dosyć opracowaną, ale jednak nie na tyle, ażeby można było z dokładnością oddzielić główne grupy gwar czesko-morawskich. Dosyć będzie konstatować fakt, że tutaj, jak i w innych

dziedzinach, spotykamy pod tym względem mniej lub więcej znaczną rozmaitość.

4) Gałąź serbo-chorwato-słowińska oddzielną jest od tylko co wymienionej przez ludność niemiecką i węgierską. Dzieli się ona na trzy główne grupy: *serbo-chorwacką*, *słowińską* i *rezyańską*.

Chociaż ludzi, mówiących po rezjańsku bardzo jest nie wiele (około 3½ tysięcy), nie mniej przeto *gwary rezyańskie* różnią się dosyć wybitnie tak od gwar słowińskich, jak i od gwar serbo-chorwackich, to też nie należy mięszać ich ani z jednemi, ani z drugiemi. Rezyanie mieszkają w prowincyi Udine Królestwa Włoskiego, na samej granicy austryackiej.

Niektórzy oddzielają zupełnie gwary słowińskie od serbo-chorwackich, i w przeciwstawieniu do tych ostatnich, uznają najbliższe pokrewieństwo między gwarami słowińskiemi i bulgarskiemi. Według mego zdania, więcej wspólnych cech można zauważyć między gwarami słowińskiemi i serbo-chorwackiemi, aniżeli między słowińskiemi i bulgarskiemi. Znanym zaś jest fakt, że istnieje grupa gwar właściwie słowińskich, którą niektórzy zaliczają do serbo-chorwackich, i która w każdym razie przedstawia coś przejściowego od jednej wielkiej grupy do drugiej.

Ludność, której właściwe są gwary *słowińskie* (*krajno-słowińskie*, „chortańskie),“ zajmuje całą Krajnę, t. j. prowincyę Austryi ze stolicą Lublaną (Laibach), z wyjątkiem jedynie nieznacznej części terytoryum na południu, zaludnionej przez niemców-koczewarów (Gottscheer); następnie zajmuje ona cząsteczkę Węgier, południową część Styryi, południowy pas Chorutanii czyli Karyntyi, dwie trzecie hrabstwa goryckiego (Görz) (t. j. jego część północną, górzystą, gdy tymczasem nadmorska równina zajętą jest przez friulan czyli furlanów i włochów), okolice Triestu i północną część Istryi. Oprócz tego, ze stanowiska lingwistyczno-etnograficznego, do słowińców wypada zaliczyć chorwatów, „kajkawców,“ mieszkających w prowincyi Chorwacyi czyli Kroacyi i w dawnych osadach wojskowych czyli w pograniczu wojskowym (Graniczary), t. j. właśnie tych słowińców, których jak wyżej powiedziano, niektórzy zaliczają do serbo-chorwatów.

O ile mi wiadomo, nigdzie w dziedzinie słowiańszczyzny na tak nieznacznej przestrzeni nie ma tak znacznej ilości jak najrozmaitszych odcieni dialektycznych, jak właśnie na terytoryum, zajmowanem przez słowińców. Oprócz wielu innych grup dialektycznych możemy tu odróżnić dwa główne pasy dialektyczne: *północno-zachodni* (w Karyntyi, w północnej części słowiańskich posiadłości hrabstwa Goryckiego i w Krajnie górnej, t. j. północno-zachodniej) i *południowo-wschodnią* (po części w hrabstwie Goryckiem, a prócz tego w Krajnie średniej i dolnej, w Styryi i Węgrzech).

Grupa *serbo-chorwacka* ciągnie się w Węgrzech południowych, w części prowincyi Chorwacyi czyli Kroacyi, niezajętej przez słowińców — „kajkawców,“ w południowej części Istryi, w Węgierskiem Nadbrzeżu (Littorale) ze stolicą Rzeką (Wieka) czyli Fiume, na wyspach morza Adryatyckiego, w Dalmacyi, w Czarnogórzu, w Bośni i Hercegowinie (wraz z byłą Kroacyą turecką), w nieznacznej części północno-zachodniego kąta dzisiejszej Turcyi i nareszcie w niezależnem księstwie serbskiem. Oprócz tego raczej do plemienia serbo-chorwackiego, niż do słowińskiego, należy zaliczyć słowian, mieszkających we Włoszech w prowincyi Udine, na granicy austryackiej, na północo-wschód od Cividale i na południe od Rezi. Nakoniec, mniej lub więcej znaczne osady serbo-chorwackie istnieją we Włoszech południowych, w byłem Królestwie Neapolitańskiem, i w Rosyi.

Ze stanowiska dialektologicznego serbo-chorwaci dzielą się przedewszystkiem na dwie części, na tak zwanych *czakawców* i *sztokawców*. Nazwy te są dosyć oryginalnego pochodzenia: wzięte są one od zaimków pytających „cza“ i „szto“ (co?), używanych przez tych serbo-chorwatów [1]). Tymczasem choćby tylko trochę naukowa klasyfikacya i charakterystyka ogólna pewnej grupy narzeczy i gwar nie może opierać się na tak drobnej właściwości, jak użycie jednego słówka, „cza?“ albo „szta?“ tem bardziej, że słówka te mogą z czasem ustąpić miejsca innym, i w ten sposób zniknie zupełnie niby to główna cecha odróżniająca. Ale podobne nazwy mogą być używane, jako terminy techniczne, byle by tylko pamiętać, że są to znaki konwencyonalne, z któremi łączy się wyobrażenie o sumie innych właściwości, daleko ważniejszych, aniżeli właściwość, kojarzona z nazwami „szto-kawcy“ i „cza-kawcy“ drogą czysto etymologiczną. W danym razie nazwy te odpowiadają w przybliżeniu rzeczywistemu rozpadnięciu się plemienia serbo-chorwackiego na dwie grupy, według głównych i istotnych cech charakterystycznych gwar im właściwych. Pomimo to mogą istnieć „szto-kawcy“ lub „szta-kawcy“ bez „szto?“ lub „szta?,“ a rzeczywiście istnieją „czakawcy“ bez „cza“ Takimi są, między innymi, wyżej wzmiankowani słowianie w prowincyi Udine, dla głównych właściwości swoich gwar należący właściwie do kategoryi „czakawców,“ a jednakże używający zaimka pytającego nie „cza?,“ ale „kaj?“ lub „koj?,“ będący więc, z tego stanowiska, nie „cza-kawcami,“ ale „kajkawcami“ lub „koj-kawcami.“ Z nazwą tą zaznajomiliśmy się już przy przeglądzie plemienia słowińskiego i jego rozgałęzień.

Oprócz Włoch północnych, tak zwani *czakawcy* mieszkają na wyspach morza Adryatyckiego, a na lądzie stałym terytoryum ich obejmuje serbo-chorwacką część Istryi, a następnie ciągnie się wązkim pasem po wybrzeżu morza Adryatyckiego, z wyjątkiem jednakże południowej części Dalmacyi.

Pozostali serbo-chorwaci są *sztokawcami*. Gwary serbo-chorwackie „sztokawskie“ dzielą się znowu na trzy grupy, południowo-wschodnich „ije-kawców,“ północno-wschodnich „e-kawców“ (głównie w Księstwie Serbskiem) i zachodnich „i-kawców.“ Pierwsi mówią np. *rijeka*, *bijeli*, drudzy *reka*, *beli*, trzeci zaś *rika*, *bili* (rzeka, biały).

Naturalnie wszystkie te podziały są bardzo niedokładne i wcale nie ostateczne. Z czasem klasyfikacya narzeczy i gwar nietylko serbo-chorwackich, ale i innych słowiańskich będzie musiała być opartą na szerszych i bardziej naukowych podstawach.

Na zakończenie oddziału o gwarach „serbo-chorwackich“ uważam za potrzebne zauważyć, że jest to termin sztuczny, t.j. wymyślony przez uczonych, a nie wzięty z życia. Podobnej nazwy. „serbo-chorwaci“ lub też „język serbo-chorwacki,“ nie spotykamy ani w literaturach narodowych serbów i chorwatów, ani w polityce, ani w historyi, ani też w jakiejkolwiek innej dziedzinie, oprócz badań i rozpraw filologicznych i lingwistycznych. Pierwotnie istniały obok siebie dwie nazwy, *serbowie* i *chorwaci*, jako nazwy plemienne. Następnie przeszły one na pewne prowincye czyli krainy, *Serbię* i *Chorwacyę*, tak że z nich rozwinęły się terminy polityczno-geograficzne, nie odpowiadające istotnym podobieństwom i różnicom etnograficznym. Różnica wyznań pomogła rozprzestrzenieniu nazw „chorwaci“ i „serbowie“ po za granice geograficzne. „Chorwatami“ zaczęto nazywać katolików rzymskich, „serbami“ zaś — prawosławnych z tego samego plemienia. Jak niżej zobaczymy, w związku z tem znajduje się także rozróżnienie dwu alfabetów i dwu piśmiennictw czyli literatur, *chorwackiej* i *serbskiej*. Obecnie nazwa geograficzna „Chorwacyi“ czyli „Kroacyi“ (Hrvatsko, Croatien) wcale nie odpowiada rozmieszczeniu etnograficznemu plemion słowiańskich, mieszkających w tej prowincyi: znaczna jej część zaludnioną jest nie przez prawdziwych chorwatów, w etnograficznem znaczeniu tego wyrazu, ale przez słowińców („kajkawców“), a nawet stolica Chorwacyi, Zagrzeb', leży w jej części słowińskiej.

5) Pozostaje jeszcze tylko gałąź *bulgarska* narzeczy i gwar słowiańskich. Przedstawiciele gwar bulgarskich, t. j. *plemię bulgarskie* czyli *bulgarowie* zaludniają całą słowiańską część półwyspu Bałkańskiego, z wyjątkiem północno-zachodniego kąta, zajętego przez serbo-chorwatów. Z niesłowiańskich narodowości bulgarowie graniczą na północ z rumunami, na wschód i południe z turkami i grekami, na zachód z albańczykami czyli arnautami. Tym sposobem mieszkają oni w na pół niezależnem Księstwie Bulgarskiem, w autonomicznej Rumelii, w Księstwie Serbskiem, w Macedonii, w Tesalii, w nieznacznej ilości w Albanii i nareszcie u ujść Dunaju, tak w Rumunii, jak i w Rosyi.

Oprócz drobniejszych grup, gałąź *bulgarska* narzeczy i gwar słowiańskich dzieli się na dwie główne grupy: *północno-wschodnią* czyli *dunajsko-bałkańską* i *południowo-zachodnią* czyli *macedońską*.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

[1]) Na użyciu słówek podobnego rodzaju opartą jest w dziedzinie języków romańskich różnica między „langue d'Oc“ (język prowensalski) i „langue d'Oïl“ lub „langue d'Oui“ (jęz. francuzki). Podobnie znana nam już nazwa „kajkawców“ należy do tej samej kategoryi.

WYKŁADY PUBLICZNE.

I.

Miłosierdzie, przypadek, moda, szyk, ratuszowa sala — najrozmaitsze wreszcie przyczyny skojarzyły się dla zapewnienia odczytom na korzyść Osad Rolnych kilkoletniego szczęścia. Dopóki ta łaska obficie płynie, zarząd studzieniecki stawia corocznie na niej swój młyn i zarabia kilka tysięcy rubli. I słusznie robi; kiedy trafił na zdrój, niechże zeń czerpie dopóki można.

Obecną seryę odczytów rozpoczął p. Kucharzewski wykładem o Stephensonie i kolejach żelaznych. Jakkolwiek nie jest to temat nowy, nawet u nas. gdyż bodaj czy nie sam p. Kucharzewski rozwinął go dość obszernie w jednym z dawniejszych roczników *Przyrody i Przemysłu*, jednakże dla naszej publiczności odczytowej miał pewne cechy „ziemi nieznanej“. W każdym razie tak sądził prelegent, skoro wziął rozległy materyał za przedmiot jednogodzinnego wykładu i dlatego też musiał pominąć wiele rzeczy ciekawych a dla publicznego audytoryum bardzo pożytecznych. Stosunkowo jednak do zamiaru i czasu, odczyt odznaczał się wcale dobrem rozwinięciem treści.

Oczekiwaliśmy jednak staranniejszego upopularyzowania teoryi machiny parowej, którą prelegent traktował jakby mimochodem, a która według naszego zdania powinna była stanowić część wykładu. Pomimo to wyznać winniśmy, iż p. Kucharzewski przedstawił się jako zdolny nauczyciel publiczny.

II.

O wymowie starożytnej i jej wpływie na nowożytną rozprawiał we wtorek ubiegły p. Morawski z katedry ratuszowej i potrafił po raz pierwszy przekonać naszą publiczność, że starożytność nie zawsze bywa lamusem.

Wśród filologów klasycznych prelegent przedstawił się jako dość rzadki ich rodzaj, jako prawdziwe przeciwieństwo typu szkolnego pedanta, nadzianego sposobami używania tej lub owej partykuły.

Badacze specyalni dotychczas zwykle rzucali dwojakie światło na przedmioty starożytne: albo stawiając podane fakta na piedestale i otaczając je akademicką powagą, albo też rozdrabiając się w pracowitych badaniach nad drobnostkami.

Pan Morawski, zrzuciwszy akademicką togę i okulary antykwaryusza, przebiegł swobodnie po dobrze znanej dziedzinie starożytnej wymowy, przyjrzał się rozmaitym jej cechom charakterystycznym i opowiedział o tem słuchaczom w sposób łatwy, kwiecisty, zajmujący, a niekiedy nawet dowcipny. Odczyt jego tak się miał do systematycznego wykładu, jak robótka turysty do opisu geografa, jak szkic rzucony od niechcenia w albumie do skończonego malowidła. Streszczać go nie będziemy, gdyż ruchliwa myśl prelegenta wymyka się ze sprawozdawczego wątku. Właściwie mówiąc, był to szereg aforyzmów i myśli ogólnych, nawiązanych zręcznie, oraz malowniczych obrazów, przedstawiających rolę mówcy na rynku publicznym, różnicę kunsztu oratorskiego w starożytności i w nowożytnym rozwoju życia parlamentarnego.

Prawdę mówiąc, p. Morawski daleko więcej powiedział o zewnętrznej piękności i działaniu na tłumy, o gestykulacyi i próbach wywołania efektu, aniżeli o cywilizacyjnem i historycznem znaczeniu mówców i ich wpływie na wypadki historyczne. Strona literacka przedmiotu została w odczycie prawie pominiętą, zapewne umyślnie dla przedstawienia rzeczy ze strony plastycznej i malowniczej. Nawet końcowe portrety wielkich mówców p. Morawski oparł na charakterystyce ich posągów, a chociaż w pewnych twierdzeniach okazał rozbrat ze szkolarską tradycyą, jednakże rysów było tu za mało. Gadatliwy Cycero ukazał nam się w szkicu dość wyrazistym, ale wielka postać Demostenesa zasługiwała na obraz daleko energiczniejszy.

Wogóle odczyt p. M. był lekkim, zajmującym i ruchliwym, chociaż nie dyletanckim. Prelegent zakończył go natrąceniem niezbyt pochlebnem o mówcach nowożytnych, oraz kwieciście wyrażoną nadzieją pojawienia się jakiegoś oczekiwanego mesyasza, który będzie umiał wzruszać serce i ożywić dzisiejszą chłodną, na rozum tylko działającą wymowę. Zwrot ten należy do pobożnych życzeń, bardzo pięknie brzmiących we frazesie, ale zaprzeczających prawom rozwoju, które w każdej epoce rodzą właściwych jej ludzi.

Uważamy też owo zakończenie tylko za próbkę...wymowy przyszłości i ozdobę, wieńczącą całość odczytu napisanego żywo i malowniczo, wypowiedzianego bardzo dobrze choć skromnie.

III.

Życie podzwrotnikowej Kuby dostarczyło p. S. Wiśniowskiemu obfitych barw do skreślenia wdzięcznego obrazka z podróży. Na tle charakterystyki miejscowych stosunków prelegent przedstawił wybitne cechy ludności, mniej poświęcając uwagi szerszym zagadnieniom, więcej — drobiazgowym szczegółom. Z pasma pierwszych przedewszystkiem wysnuć należy kwestyę oświaty i cywilizacyi.

Ludność kreolska Kuby przedstawia rażący kontrast stosunków społecznych. Z jednej strony staje przed podróżnikiem szereg zbogaconej inteligencyi, śród której dziś jeszcze nierzadkie są jednostki, zawdzięczające handlowi niewolnikami swój byt materyalny, — z drugiej warstwa pracujących helotów, przygnębiona, z piętnem niewoli na czole. Męska połowa mieszkańców wyspy obraca się w ciasnem kole stosunków codziennych, nie wyglądając okiem po za obręb interesów poziomych. Ani historya kraju, ani piśmiennictwo nie zajmują jej wcale. Życie pozadomowe zadawalnia całkowicie ich dążenia. Ten charakter mężczyzn odbił się na kobietach, które nadto wychowaniu klasztornemu zawdzięczają, że myśl ich kręci się w kole bardzo ograniczonych pojęć. Kreolka umie prowadzić rozmowę o strojach, stosunkach miłosnych i zabawach — cały obraz zagadnień ogólnego znaczenia nie istnieje dla niej.

Dzieci wychowują się zbiorowo, służąc częstokroć za przedmiot rozrywki dla gości. Pod przewodnictwem kierowniczki szkoły prezentują one swe oblicza, na których trudno dopatrzeć wszelkich cech intelektualnych. Stan moralny społeczeństwa wobec takich stosunków przedstawia nizki poziom zasad etycznych. Ludność robocza nie poczytuje sobie za hańbę a nawet za lekkie przewinienie licznie praktykowanych kradzieży. Na plagę tę kreol nie znajduje innego środka nad silny zamek, broń i psy. Zamiast szukać wyjścia ze stanu ciągłego oblężenia na drodze złagodzenia stosunków, ludność kreolska ucieka się właśnie do środków jątrzących rany społeczne. Kuba przedstawia dziś oazę, w której do dziwnej harmonii układają się pierwiastki i zdobycze nowszej cywilizacyi z warstwą dawno przeżytych zasad społecznych.

P. Wiśniowski rzucił te myśli ogólnego znaczenia na barwne tło stosunków wewnętrznych, uwydatniając zwyczaje kreolów, ich życie domowe, oraz wprowadzając do opowiadania liczne szczegóły, składające się na harmonijną całość kartki z podróży.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Pod blachą. Powieść z końca XVIII wieku przez *J. I. Kraszewskiego.* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1881 r. 8-a, t. I, str. 169, t. II, str. 176, t. III, str. 182.

Ze szczególnem upodobaniem za temat do swoich powieści bierze Kraszewski stulecie ubiegłe, któremu dotychczas kilkanaście już dzieł poświęcił. Czasy owe zna on gruntownie, a do opracowań artystycznych go nęcą, bo dużo w nich ruchu, pełno momentów tragicznych i kontrastów obfitość wielka.

Na epokę Stanisława Augusta pogląda Kraszewski czarno. Skalą moralności mierząc wartość człowieka, w społeczeństwie XVIII wieku widzi zgliliznę; za wyraz literatury ówczesnej uważa utopię i paszkwil; — wpływowi francuszczyzny przypisuje obyczajów upadek, a w sferze myśli zaniechanie własnych, praktycznych wzorów przeszłości. Mężczyźni — małego geniuszu i słabi — igraszką stają się kobiet; ostatnie dużo mają rozumu, inicyatywy i siły, lecz są obłudne, zimne i moralnie potworne, — ku zatracie mężczyzn niezaradnych i biernych. Kraszewski tylko szlachtę w zaściankach za pokład uważa zdrowszy.

Charakteryzująca społeczeństwo Warszawy z czasów Koehlera powieść *Pod blachą* te same podaje barwy, co *Małeparta, Dyabeł, Dola i niedola, Macocha, Kawał literata, Syn marnotrawny* i t. p. z epoki Stanisława Augusta. Spotykamy w niej osobistości z dworu Poniatowskiego znane wybornie: nie postarzały się nawet, zmieniły tylko nazwiska, odświeżyły peruki i fraki. Szambelan Pokutyński przypomina Bauchera *(Dyabeł)*; Habąkowska — Szwedzką *(tamże)*; pani Vauban od markizy Lhuillier, hrabiny Tomatis i szambelanowej Camelli nie różni się niczem. Kobiety szukają miłostek, młodzież gra w karty i pije; starzy udają młodych, dzieci pozują na mężów. Dysonans stanowi domorosły szambelan Burzymowski, poczciwiec, przypominający Podstolego *(Kawał literata)* i pana Obucha *(Staropolska miłość)*; świat zaś odrębny, zajęty troską o przyszłość, reprezentuje salon kasztelanowej Lanckorońskiej, w którym spotykamy arcybiskupa Krasickiego, Dmochowskiego i księdza Staszyca. Szkoda, że świat ten szanowny autor po za kulisami powieści umieścił i ludzi jego nie wywiódł. Wprawdzie ze sfery owej wprowadził do akcyi Grabskiego, lecz trzydziestoletni sensat nie ujawnia poglądu na współczesną sytuacyę narodu, ani nie zdradza widoków na przyszłość: kochać tylko umie szlachetnie, na rozpustników pochmurnie patrzeć i milczeć.

Osią powieści jest Sylwja i Pepi. Córka zacofanego szlachcica, żądna blasku wielkiego świata i zabaw, zawiązuje stosunek z księciem Józefem, ku któremu pała efektem i zyskuje wzajemność. Upadłaby, jak tyle innych; stałaby się podczaszyną Ordyńską *(Dyabeł)* lub Julią *(Dola i niedola)*, gdyby nie uczciwość kochanka, który dla względów wyższych poprowadzić Sylwii do ołtarza nie może, a krzywdzić jej nie chce. Chociaż — odepchnięta w końcu przez księcia — wychodzi za mąż, pierwszemu przecież uczuciu zostaje wierną i umiera pod ciosem wieści o śmierci bohatera pod Lipskiem.

Jeżeli Sylwja z kobiet wyższej sfery towarzyskiej Warszawy przedstawia jedyną postać opracowaną dokładniej, — to książę Józef też samą zajmuje pozycyę śród mężczyzn. Pióra swojego bohaterowi temu poświęcał Kraszewski dotychczas niewiele: ukazał go najprzód przelotnie tańczącego podczas podróży kaniowskiej *(Dyabeł)*; drugi raz upraiwającego miłostkę *(Pomywaczka)* i obecnie dopiero na większą skalę wizerunek jego postanowił odtworzyć.

„Poczciwy gubernator Koehler, Hoym, jenerałowie, dowodzący naówczas wojskami pruskiemi w Warszawie: Pletz, Wagenfeld i Rocchetti, a nawet dyrektor policyi Tilli, — mieli to najmoniejsze przekonanie, iż książę pozbył się wszelkich widoków na przyszłość, ambicyi, rycerskiego ducha i że mu szło jedynie o spokój, wygodne, ciche, błogosławione życie magnata, któremu wspomnienie tronu pokrewnego przyświecało. Za niewinne wcale uważano upodobanie, z przeszłości zachowane, w koniach, bez których żaden pański dwór się nie obchodził. Ci, co otaczali księcia, po większej części daleko od niego rozwięźlejsi i rozpieszczeni próżnowaniem, albo wtajemniczeni w rolę, jaką grać było potrzeba, potwierdzali swem postępowaniem przekonanie, iż nad rozrywkę, trzpiotowstwo i małą intrygę nic księciu do życia nie było potrzeba“ (III, str. 120).

Z powyższego ustępu wypada, że brawurę księcia Józefa uważa Kraszewski za maskę, zasłaniającą przed prusakami widoki na przyszłość. Z zaśpionego czoła odczytuje autor tajone zamiary; z twardego łoża, okrytego historyczną burką, wnosi o rycerskich Poniatowskiego zapałach i żołnierskich nałogach. Ową głąb myśli wysuwa nawet na plan naczelny, przez co osłabia w księciu Józefie historyczną tężyznę.

Czy istotnie pod wpływem takich pobudek bawił się Pepi?

Według Kraszewskiego lekkość obyczajów wyłącza szersze poglądy i zapał; bohaterowie jego powieści albo uosabiają zepsucie bez domieszki porywów wyższych i siły, lub są to gardzący brawurą i śmiechem sensaci. Ponieważ historyczny Pepi przy hulaszczości swojej był człowiekiem szlachetnym i wyższym, Kraszewski zaś wmożliwość łączności rysów tak sprzecznych nie wierzy, — wypadało mu przeto z przyrodzonych młodości wyskoków ulepić maskę dla pokrycia w księciu tych świateł, które razić i niepokoić mogły prusaków

Nie przeczymy, że hulaszczość mogła głąb myśli Poniatowskiego przed oczami władz pruskich zasłaniać; nie możemy jednak przypuszczać w bohaterze podstępu i rozmyślnego z pogwałceniem młodzieńczej krewkości maskowania zamiarów, albowiem dwoistość w charakterze — lekkość obok rozumu i wyższych porywów — cechuje wszystkich ludzi XVIII stulecia, którego i książę Józef był dzieckiem.

Nie dzielimy zapatrywań szanownego autora na ubiegłe stulecie w ogólę, a wszczególności na ludzi; nie widzimy też w powieści *Pod blachą* ujętego tła czasu, które tego rodzaju utworów artystycznych powinny być rdzeniem. Powieść obecna — po zaprowadzeniu modyfikacyi w kostiumach, nazwiskach i datach — mogłaby w równym stopniu prezentować stosunki dzisiejsze, tak mało w niej historyi t. j. tych zjawisk, które społeczeństwo danej doby cechują. Wada to większej liczby tak zwanych powieści historycznych Kraszewskiego, że, rozwadniając obyczajowy kommunał, strzegą się najdosadniej charakteryzujących czas i człowieka — sfer myśli i czynu.

Wł. Smoleński.

LIBERUM VETO.

Stali goście naszej prasy. — Brak w niej miejsca dla nowego króla. — Mądry czy nieszczęśliwy. — Uprzątnięcie kwestyi wschodniej. — List. margr. Wielopolskiego. — O czem nas przekonał. — „Obskurne egzystencye“ i przyjaźń do zniszczenia. — Zamęt w prasie rosyjskiej. — Zmiana języków.—*Dniew. Warszawskij.*— Sprawa akcentu. Piękne czasy.

Katków, Pindter, Rysaków, Żelabow i Perowskaja — tak rozgościli się w całej prasie, nietylko rosyjskiej, ale i naszej, że nawet w jej kolumnach zbrakło miejsca na uczczenie świeżo wykończonego króla rumuńskiego. Albo Karol I-szy jest bardzo mądry i do zajęcia tronu wybrał sobie taką chwilę, w której uwaga ogólna odwrócona gdzieindziej, albo bardzo nieszczęśliwy i nie może jej swoją nową godnością zająć—dość, że dzięki Katkowom, Pindterom i wszystkiemu, co ich jest, ozdobił on swe skronie koroną tak cicho, jak gdyby je nakrył czapką. Bez względu na to, czy królowi rumuńskiemu spodobało się wystąpienie braci syamskich z Berlina i Moskwy, czytelnikom wyświadczyli oni niewątpliwą usługę, wymiotłszy na pewien czas ze szpalt naszych dzienników od tylu lat w nich gnijącą kwestyę wschodnią. Ach, to nieszczęsne Dulcigno, demonstracya floty, koncert europejski i ostatnia nota zbiorowa „przedłożona“ Porcie — najcierpliwszego człowieka zdolne przyprowadzić do rozpaczy. Naswędzili nam pp. Pindter i Katków w gazetach — to prawda, ale dziś lepszy nawet funt *Nordd. Allg. Zeitung*, niż łut zgniłej kwestyi wschodniej. W pierwszej przynajmniej jeden Barabasz broi, a w drugiej tylu!

Zresztą artykuły dwu z Berlina i Moskwy mrugających na siebie augurów zrodziły *List otwarty* margr. Wielopolskiego, który: 1) dał nam świeży i ponętny przedmiot do publicznych rozmyślań, i 2) przekonał, jak jesteśmy do nich dojrzali. Druga ta korzyść jest bardzo ważną. Sądząc bowiem z tych próbek wzajemnej tolerancyi, jakiemi niezgodne obozy uprzyjemniają sobie życie, mówiłem zawsze w duchu: jeżeli spór o wartość sztuki teatralnej lub gry aktora doprowadza u nas zapaśników do wydrapywania sobie oczu, to co będzie, jeżeli kiedy zaczniemy się spierać o... następców Aleksandra Wielopolskiego? — Odpowiedź na to pytanie oglądałem w szufladce redakcyi *Nowin*. Polityczny sprawozdawca tego pisma, uważając list margrabiego Zygmunta Wielopolskiego za zwykły artykuł dziennikarski, pozwolił sobie kilku nad nim uwag, po których tak zwane „obskurne egzystencye“ zagrzmiały rotowym ogniem zwykłej swej broni, listów bezimiennych. Jakkolwiek przeglądałem te ciekawe akta walki.... wyborczej, nie mogę wam czytelnicy nawet na okaz przedstawić jednego; tak wszystkie pisane gęstym błotem. Jest przecie między nimi perełka humoru, mianowicie: jeden z anonymów twierdzi, że *Nowiny* oświadczają się przeciw margr. Wielopolskiemu, bo chcą na jego miejsce wysunąć swego redaktora. Tak nie jest; nie zazdrości on panu Wielopolskiemu politycznej roli, choćby dla samych pewnego rodzaju jej mścicieli. Margrabia Myszkowski zapłaciłby z pewnością hojnie niektórym ze swych zwolenników, ażeby go nie chcieli bronić. Licha przyjaźń, jak szkodliwa książka — warto ją kupić i zniszczyć.

Nie sądź czytelniku, ażebym tę regułę stosował do pism rosyjskich, które w ostatnich dniach pokazały nam, co umieją. Doprawdy one warte są litości i zachowania na pamiątkę strasznej zarazy obłędu. O takiem pomięszaniu pojęć, jakie obecnie panuje w prasie rosyjskiej, nie słyszało żadne inne dziennikarstwo świata. Gazety tak dalece zapominają swej roli i charakteru, że *Mosk. Wiedomosti* w przystępie nagłego napadu mówią językiem *Strany*, *Kiewlanin* jeży się na wzór *Gołosu*, a najlepsze może w tej trójce *Sowremiennyja Izwiestia* wpadają w logikę nihilizmu. Zgadnijcie np. która gazeta tak pisze: „Uganiając się za rozmaitymi pozorami liberalizmu, nie pojmując istoty swobody, ugrzęźliśmy w niewolnictwie, a przytem w najgorszym jego rodzaju, w niewolnictwie duchowem, wraz z wszystkiemi jego następstwami. Ono w nas rozwinęło właściwe mu wady: lękliwość, obłudną uległość, brak charakteru. Straciliśmy samoistność i samodzielność, przestaliśmy być sami sobą. Ile w nas nagromadziło się kłamstwa i obłudy! Doszło do tego, że ludzie wstydzą się najlepszych swoich uczuć, a jeżeli uczucia te wymkną im się skutkiem nieodzownej potrzeby natury, starają się jak najprędzej stłumić ten objaw niewspółczesny.“ Więc kto to mówi?... *Moskowskija Wiedomosti*.

Druga zagadka: „Rzeczywiście— powiada inny organ — niepodobna wracać do tego systematu, który okazał się niedostatecznym przed rokiem; systemat ten nie wskazał nam ani drogi, ani wyjścia.“ Kto znowu to głosi? *Kiewlanin*. Jeżeli *Kiewlaninowi* sprzykrzył się „dawny systemat,“ to doprawdy nie wiemy, czego należy niedługo oczekiwać. Posłuchajcie, co bredzą w malig nie *Sowremiennyja Izwiestia*: „Jakkolwiekby to zdawało się dziwnem, jest najzupełniej pewnem, że każda, nawet w urzędowej służbie pozostająca osobistość kryje w sobie więcej ducha rewolucyjnego, niż zwykły człowiek, stojący za granicami wszelkich związków z rządem; każdy rządzący jest bezwątpienia większym rewolucyonistą niż rządzony.“ *Poriadok*, wyciągnąwszy za uszy zapadły w własną niedorzeczność dziennik, pyta: a więc nihiliści są zbawcami?

W chwili, gdy jedne gazety rosyjskie rozum tracą, inne go odzyskują. *Warszaws. Dniewnik* dwukrotnie już o tem nas przekonał. Raz odprawą, daną koledze z Moskwy, a drugi raz uwagami nad artykułem *Wieku*, występującym przeciwko utrudnianiu uczniom promocyi za nieznajomość rosyjskiego akcentu. Warszawski Dniewnik powiada:

„Możemy zapewnić szanowną gazetę, że sprawa akcentu nie może stać się przedmiotem rządowych narad, a jeżeli w niektórych gimnazyach praktykuje się zwyczaj, wedle którego pomyłka w akcencie wyrokuje o losie uczącego się, to niezawodnie system ten nie posiada dostatecznego tłomaczenia w szkolnej ustawie. Nie ulega wątpliwości, że tutejszy krajowiec, zaznajamiający się z rosyjskim językiem tylko w szkole, nigdy nie nauczy się zupełnie prawidłowo nim mówić. Na to trzeba koniecznie przemieszkać dosyć długi czas w Rosyi, a nawet i wtedy ucho rosyanina bardzo łatwo po wymowie odróżni polaka. Akcent przedstawia niezwalczone trudności, zwyciężane tylko długiem przyzwyczajeniem i praktyką, przy zupełnem oddaleniu się od miejscowego gruntu. Tę prawdę mogliby przyjąć na uwagę pp. pedagodzy. Dla rosyjskiego akcentu nie ma określonych prawideł, a więc czyż rozumną jest rzeczą domagać się od uczących znajomości tego, co nie ma teoretycznych przepisów i co zdobywa się tylko przez długą praktykę? Innemi słowy, czy racyonalną jest rzeczą domagać się znajomości tego, czego nie może nauczyć wykładający?“

Ach, gdyby to racyonalność wystarczała do przekonania apostołów dobrego „udarenia!“ Bądź co bądź, w pięknych żyjemy czasach, w których trzeba pisać artykuły o akcencie ze stanowiska społecznego!

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 31 marca.

Wznowienie ścisłych związków przyjaźni pomiędzy trzema cesarstwami jest najwydatniejszym w tej chwili faktem politycznym, któremu towarzyszą nadto objawy obchodzące nas jeszcze bliżej.

Mówimy o walce *Nord. Allg. Ztg.* przeciw polakom, która się na znanym nam już artykule bynajmniej nie skończyła, lecz przeciwnie, występuje dalej w kształtach, znamionujących na szerszy rozmiar zamierzoną kampanię. Trzy już z rzędu artykuły napadające na nas z okoliczności petersburskiej katastrofy umieściła *Nord. Allg. Ztg.* i zapowiada ich więcej, a jej agitacya nie jest odosobnioną. Równocześnie po dziennikach obiega, jako z „wysokich sfer“ pochodząca, niby petersburska korespondencya do gazety inspirowanej *Bad. Landes Ztg.*, która jako następstwo zbliżenia się Austryi razem z Niemcami do Rosyi przepowiada już „koniec gospodarki polaków i czechów w Austryi.“ Widocznie więc mamy tu do czynienia z intrygą, obmyśloną z całkowitym planem. Ks. Bismark kuje żelazo póki gorące, a ofiarując się Rosyi z przyjaźnią w chwili krytycznej, radby jako kompensatę za swoje względy rozbić w samym zarodku zbliżenie rosyjsko-polskie, którego się ze względu na możliwy jego wpływ w stosunkach słowiańszczyzny niepomału lęka. Tak się przedstawia rzecz, pomyślana w kancelaryi bismarkowskiej i tak też zrozumiano ją w Wiedniu, gdzie już się doczekała oprawy w dziennikach prawicy poselskiej. Jeden z organów tego kierunku, pisząc o demonstracyach *Nordeutscherki*, zaznacza ich tendencyę w myśl wyrażoną powyżej i tak pisze: „Rosya i Austrya nie mogą łączyć się z polityką niemiecką co do polaków, a my bardzo byśmy nad tem bolelil, gdyby zbliżenie się Niemiec do Rosyi musiało być okupione za cenę zaniechania zgody z polakami. Co do Austryi, to musiałaby ona gorzko odczuć tę kombinacyę, ja-

ko skierowaną także i przeciw habsburskiej monarchii, ponieważ ona nie może uciemiężać narodowości w jej skład wchodzących bez narażenia na niebezpieczeństwo całego swojego bytu. Chcemy przypuszczać, że podobną odpowiedź pozyskają knowania niemieckie i gdzieindziej.“

Obszernie dyskutowaną jest w dziennikach europejskich, zwłaszcza tak zwanych półurzędowych, kwestya podjęcia przez rządy państw wspólnych środków represyjnych przeciw „międzynarodowej rewolucyi.“ Głosy odnośne dzienników, jak *Agence Russe* i *Journal de St. Petersb.* znajdują największej poparcia w Niemczech, których rząd nawet inicyatywę bezpośrednią ma podobno ująć. Wstrzemięźliwie natomiast zachowują się organa opinii publicznej w Austryi, gdzie nawet inspirowany ze sfer dworskich *Fremdenblatt* nierad jest projektowi akcyi wspólnej, dowodząc, że ponieważ tu chodzi głównie o ograniczenie prawa schronienia (Asyle) państwa, które to schronienie przestępcom politycznym dają, same sobie zmianę obyczajów odnośnych przeprowadzić mogą. Szwajcarskie dzienniki energicznie się bronią przeciw pogróżkom prasy niemieckiej i rosyjskiej, opinia zaś dziennikarska we Francyi i Anglii mało się stosunkowo w tej kwestyi odzywa. Rządy zresztą tamtejsze dają ze swej strony możliwe zadosyćuczynienie. W Paryżu skazano na więzienie i grzywny redaktorów pism radykalnych, które pochwaliły zamach a obecnie to samo ma się stać i w Londynie.

Rumunia ogłosiła się królestwem. Jest to fakt w każdym razie ciekawy i ważny, choć w gruncie rzeczy więcej formalnego niż przedmiotowego znaczenia. Pierwsza to zmiana w prawnopolitycznej sytuacyi państw półwyspu bałkańskiego po traktacie berlińskim, lecz już bez oficyalnego współdziałania państw kongresowych dokonana. Proklamacya królewska nastąpiła za prostą uchwałą Izb bez formalnego zapytywania się mocarstw, ponieważ Rumunia była już państwem niezależnem. Że jednak wprzód się poufnie porozumiano, to się samo przez się rozumie. Organa rządu austryackiego i niemieckiego sympatycznie powitały nowe królestwo, w przypuszczeniu, rozumie się, że ono należycie oceni ważność trzymania się wskazówek ich polityki.

Dziś nadeszła z Konstantynopola wiadomość, że przyszło do porozumienia pomiędzy ambasadorami a Portą co do linii granicznej greckiej. W przyszłym zatem tygodniu może już będziemy wiedzieli, o ile fakt ten w rzeczy samej wpłynie na pokojowe załatwienie sprawy.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stowarzyszenia. Sprawozdanie Komitetu Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych za rok 1880 poucza nas, iż dochód Towarzystwa w tym przeciągu czasu wyniósł 18,806 rs. 16 kop., remanentu zaś na rok bieżący pozostało w kasie 67 rs. 46 kop.

Do rozlosowania pomiędzy członków nabyło Towarzystwo 59 dzieł sztuki. Osoby prywatne zakupiły w ciągu roku 1880 na wystawie obrazów 44 i 5 rzeźb. Wystawę zwiedziło w tym okresie 29,393 osób.

Rocznik Towarzystwa, w którem się mieści sprawozdanie, zawiera drzeworyty obrazów *Rodzina święta* Franciszka Tegazza i *Ostatnie chwile Długosza* Kazimierza Mireckiego, oraz statuetki H. Marczewskiego *Kordecki.* W dziale nekrologów mieszczą się życiorysy Józefa Orłowskiego i Franciszka Tournelle‘a budowniczych, Kazimierza Ostrowskiego rzeźbiarza, oraz Aleksandra Gryglewskiego i Maurycego Gottlieba malarzy, zmarłych w r. 1880.

— Ze sprawozdania zarządu Towarzystwo Pomocy Naukowej dla młodzieży Prus Zachodnich, istniejącego w Toruniu, dowiadujemy się, iż Towarzystwo to liczyło w roku zeszłym 703. Towarzystwo udzieliło w okresie tym wsparć 6,230 marek, z których korzystało 32 studentów uniwersytetu i 30 uczniów gimnazyów.

Sprawy społeczne. Wystawa wszechrosyjska w Moskwie rozpocząć się ma w końcu marca r. b Roboty około ukończenia gmachów wystawowych prowadzone są z gorączkowym pospiechem. Centralny pawilon, zajmujący przeszło 8,000 sążni kw., cały wybudowany z żelaza z dachem szklannym, jest już prawie na ukończeniu.

— W Warszawie powstał projekt, poparty już nawet ofiarą pieniężną, założenia Szkoły dla rzemieślniczek Zakres nauczania obejmować ma czytanie, pisanie, katechizm i rachunki. Czy nie zamało?

— Na jednem z odbywających się obecnie posiedzeń założycieli Towarzystwa Przyjaciół dzieci, cel Towarzystwa określonym został w następujący sposób: powinno ono przyczynić się do prawidłowego rozwoju młodych pokoleń, obudzać w matkach poczucie obowiązków macierzyństwa i przychodzić im w tym celu z pomocą moralną i materyalną.

W Krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się d. 21-go z. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem prezesa Akademii, d-ra Majera. Sekretarz wydziału prof. dr. Kuczyński odczytał treść rozprawy, nadesłanej przez prof. Frankego: *O inwolucyi sześciu prostych uważanych jako osi skrętów chwilowych.* Prof. dr. Alth zdał sprawę o dziele dr. Ottona Hahna: *Die Mateoriten und ihre Organismen.* Prof. dr Oskar Fabian wyłożył treść swej rozprawy: *O tak zwanym czwartym stanie skupienia.* P. Władysław Kretkowski wyłożył treść swej rozprawy: *O przekształceniach pewnych wielomianów jednorodnych drugiego stopnia.*

W dalszym ciągu odbyło się posiedzenie administracyjne, na którem rozprawy wyżej pomienione pp. Frankego, Fabiana i Kretkowskiego przesłano do komitetu redakcyjnego, tudzież zatwierdzono wybory: d-ra Karola Fligera w Gracu na członka komisyi antropologicznej i p. Adolfa Engla, profesora seminaryum w Rzeszowie, na członka komisyi ozyograficznej.

Literatura polska. *Przeglądu bibliograficzno-archeologicznego* zeszyt 5 opuścił prasę i zawiera następujące artykuły: *Zbiór medali polskich* d-ra Rewolińskiego w Radomiu, unikaty i nieznane dotąd medale w tymże zbiorze znajdujące się, opisał C. Wilanowski (ciąg dalszy); *Patricius Piotra Zbylitowskiego.* przez Włodzimierza ks. Czetwertyńskiego; *Monastyr OO. Bazylianów w Podhorcach,* przez ks. Baracza (dokończenie); *Statuetka N. P. Jackowej we Lwowie,* podał Edward Pawłowicz; *O fabrykach i rękodzielach w dawnej Polsce,* przez Juliana Kołaczkowskiego (ciąg dalszy); *Symbole i Legendy na monetach polskich,* opisał Andrzej Janowicz; *Korespondencya archeologiczna z powiatu Kieleckiego,* przez ks. Wład. Siarkowskiego; *Bibliografia prasy; Kronika.*

— P. Tadeusz Korzon, znany w literaturze naszej z prac historycznych, przygotował do druku obszerne dzieło o epoce Stanisława Augusta. Autor kładzie szczególny nacisk na wewnętrzne stosunki Polski w ówczesnej epoce.

— Wyszła z druku broszura p. t. *Potop biblijny i peryodyczne potopy ziemi,* ułamek z ostatniej doby dziejów kuli ziemskiej.

— Janek Mrówka wydał nową książeczkę dla ludu p. t. *Pogadanki w karczmie.* W formie opowiadania podaje autor praktyczne rady, jak sami włościanie przyczynić się mogą do zreformowania wadliwego ustroju obecnych stosunków wiejskich.

— W krótce ma się ukazać w przekładzie polskim dzieło znakomitego uczonego Maksa Müllera pod tytułem: *O początku i rozwoju religii.* Tytuł oryginału angielskiego: *Origin and growth of religion.*

Literatura czeska. W ostatnich czasach literatura czeska zbogaciła się kilku nowemi płodami poetów czeskich. Vereblicki wydał tom poezyi p. t. *Nowe baśnie epicke,* Otokar Mokry *Ihoczeskie melodie* (Melodie południowo czeskie); wreszcie wyszedł zbiorek poezyi Rudolfa Pokornego p. t. *Z hor.*

Malarstwo i rzeźba. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych wybrało na premium dla swych członków na rok 1881, reprodukcyę z obrazu Franciszka Krudowskiego: *Powrót z Golgoty.*

— Na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych umieszczoną została rzeźba p. Klossa, przedstawiająca *Tarpeję i Liktora.*

Teatr. W teatrze Karola w Wiedniu przedstawiono z wielkiem powodzeniem najnowszą trzy-aktową operetkę Straussa p. t. *Der Gascogner.*

— Na scenie krakowskiej, wystawiono komedyę tłomaczoną z angielskiego Diona Boucicault p. t. *Stare głowy, młode serca.*

— W paryskim teatrze Gymnase przedstawiono nową komedyę w 3 aktach pp. Ganderaux i Kranz p. t. *Miss Fanfare.*

Nekrologia. Piotr Cortambert, słynny geograf francuski, umarł w Paryżu w d. 12 marca r. b. Najważniejszem jego dziełem była *Géographie universelle* wydana w 1726 r. Atlasy jego zyskały powszechny rozgłos.

— Ks. Roman Sanguszko, zmarł wieku lat 80, w dobrach swych na Wołyniu, Sławucie.

— Mikołaj Rubinstein, zdolny muzyk i kompozytor, zmarł przed kilku dniami w Paryżu. Urodził się w Moskwie 1835 r. Studya swe muzyczne odbył Rubinstein w Berlinie.

— Henryk Niewęglowski, zasłużony profesor, matematyk, zmarł w dniu 20 marca w Paryżu, w 71 roku życia. Urodzony w Międzyrzeczu, w Lubelskiem, w r. 1807 kształcił się początkowo w szkołach wojewódzkich w Łukowie, potem w liceum warszawskiem, w końcu zaś wstąpił do uniwersytetu warszawskiego, gdzie uczęszczał na wydział matematyczny i administracyjny.

W 1830 r. opuścił kraj ojczysty, osiadł w Paryżu, gdzie poświęcił się wyłącznie matematyce, i przez pewien czas był profesorem liceum polskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. E. Wit. w Krasiłowie. Kwartał I *Prawdy* wyczerpany; pieniądze zapisaliśmy na dalszą prenumeratę.

P. Kaz. Dul. W Charcicach. Można markami.

Nadsyłaną nam prenumeratę na kwartał pierwszy, z powodu zupełnego wyczerpania dotychczasowych numerów *Prawdy*, zapisujemy na kwartał trzeci.

Do dzisiejszego numeru Prawdy dołączamy dla abonentów miejskich dodatek bezpłatny, sześć arkuszy pracy Pypina „Kwestya polska w literaturze rosyjskiej.“

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w artykule *Z dziennikarstwa rosyjskiego* w. 3 zam. *N. K.* winno być *W. K.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Марта 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.